

BIBLIOTEKA  
Instytutu  
Bałtyckiego  
w Bydgoszczy  
PO 1667 III

Cena 10 zł  
wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego.

36

# ODRY

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok III Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 5 stycznia 1947 r. Nr 1 (58)

Edmund Osmańczyk

Biblioteka  
02015

# WYOBRAZNI NARODU

## Perspektywa Odry

We wspaniałej „Historii Literatury Polskiej”, napisanej w Stanach Zjednoczonych i wydanej w r. 1944 w New York, prof. Manfred Kridl, we wstępie do rozdziału 13-go o literaturze „na nowej emigracji” zapisał te kapitalne słowa:

„...straszliwa katastrofa Polski i całej Europy niewiele tych ludzi nauczyła. W dalszym ciągu myślą i czują oni kategoriami politycznymi, które w pełnej i „idealnej” swej postaci wprowadzone w czyn, właśnie do tej katastrofy doprowadziły. Druga rzecz — pozostająca do pewnego stopnia z powyższym, a mająca znacznie szerszy zasięg — to niezdawanie sobie sprawy z tego, że wraz z katastrofą wojenną skończyła się bezpowrotnie cała epoka historii polskiej, jak zresztą i europejskiej, zawalił się cały system, na którym nasze życie było zbudowane i to nie tylko system polityczny, ale i ustrojowo-społeczny. Nie masz więc powrotu nie tylko do „rządów pułkowników”, nie tylko do ideologii „elitarnych”, czy nacjonalistycznych, ale nie masz powrotu do tej hanby, jaką było położenie ludu polskiego, wiejskiego i miejskiego, do jaskrawych różnic klasowych, do ponoszenia się nad inne warstwy i narodowości, w ogóle do „panowania” nad kimkolwiek, czy nad czymkolwiek. Zadaniem emigracji polskiej — wobec braku konkretnego pola do działania — jest przekształcenie swej psychiki na miarę tej przyszłości, jest myślenie i czucie kategoriami przyszłości. Tak myśleli i czuli Mickiewicz i Prus i wielu innych wielkich ludzi w Polsce, choć musieli przy tym własnymi rękami wydzierać z serca drogie pamiątki, ukochania i miłości. Strzeżmy się, aby przywiązania do dawnych form życia oraz fałszywe teorie nie przysionły nam widoku na sprawy najważniejsze dla bytu narodu. ...Przez bojaźń śmiałego myślenia społecznego do win wobec przeszłości dorzuca się zbrodnie na przyszłość narodu... Nowa emigracja polska nie przekształciła swej psychiki na miarę przyszłości. Emigracja nie dała krajowi żadnej koncepcji, która by, twardy grunt rzeczywistości mając pod stopami, dawała wizję świata, który nadchodzi, a w którym żyć będą następne pokolenia Polaków.

Nie dał tej koncepcji dotąd i kraj. Nie ze swojej winy. Byliśmy 5 lat odcięci od świata, skazani na walkę o nagie życie. Przemian światowych nie mogliśmy widzieć ani ich obliczać. Nasze własne tragedie, a potem w ciągu dwu lat rewolucyjne odrabianie reform społecznych i budowanie państwa w nowych zupełnie warunkach nie sprzyjały rodzeniu się myśli dalekosiężnych, przewidujących rzeczowo a śmiało miejsce nasze w Europie i w świecie za lat 20, 30, 50.

Dziś w roku 1947, kiedy otrząsnęliśmy się z chaosu wojny i rewolucji, kiedy rozejrzeliśmy się po świecie, kiedy zrewidowaliśmy szereg poglądów, które do niedawna bezkrytycznie szanowaliśmy, jak dogmaty, kiedy teraźniejszość stała się dla nas namacalnym faktem, posiadającym nieobliczone dotąd przez nas konsekwencje, czas rozbudzić wyobraźnię narodu, czas ujrzeć przyszłość, którą stworzyć możemy i która równie będzie namacalna dla naszych synów i wnuków, jak dzień dzisiejszy dla nas.

Obóz lewicy, który przeprowadził pierwszą obejmującą cały naród rewolucję polską, niech się nie oburza, że i jego koncepcje zaliczam do koncepcji teraźniejszości, a nie przyszłości. W tej chwili nie oceniam wartości, tylko stwierdzam prosty fakt, że nikt z Polaków nie był w stanie uderzyć w przyszłość dalej, niż po kres wojny, jeśli chciał się opierać na realiach a nie na marzeniach. A te realia jednej orientacji mówiły, że przetrwa wojnę Związek Radziecki, i współdecydować będzie on o losie Polski, orientacji zaś drugiej szeptały, że o losie Polski decydować będą tylko Anglosasi. Przed ludźmi jednej i drugiej orientacji stawały zatem problemy terytorium państwowego, choć różne w każdej sytuacji, to jednak w swej isto-

cie, sprowadzające się do razowca wszystkich polskich idei — odbudowy politycznej, gospodarczej i kulturalnej państwa. Nikt jednak nie mógł powiedzieć, jak liczbowo, jak fachowo, jak moralnie wszystkie te aspekty polskiego państwa wyglądać będą, w rok, czy dwa lata po wojnie, a cóż mówić o latach 20. Ideolodzy mogli narzucać jedynie kierunek swoich życzeń, słusznych, czy niesłusznych, to obojętne, ważniejsze, że nie uwarunkowanych żadnymi realiami, poza wewnętrznym zarliwym przekonaniem, że tak dla dobra Polski, ludzkości, czy świata, przyszłość wyglądać musi.

Wiemy jednak, że przyszłość nagina się tylko do tych realiów, które potrafi stworzyć człowiek. **Rozterka wewnętrzna narodu polskiego, trwająca już blisko lat 200, wynika właśnie z wiary w przyszłość, naginanej marzeniem do realiów, których człowiek polski stworzyć nie potrafił.**

Nie uważam, abyśmy byli narodem głupszym od innych i od obcych mniej potrafiącym. Uważam natomiast, że byliśmy narodem, który dosłownie mierzył siły na zamiary, nie zamiary według sił. „Oda do młodości” była i jest wyznacznikiem wszystkich młodych ludzi na całym świecie. Wyznaniem ludzi dojrzałych natomiast była tylko w Polsce, Człowiek, aby dojrzał, musi rósć tą wspaniałą młodzieńczą wiarą osiągnięcia swej najwyższej człowieczeństwa. Człowiek dojrzały musi umieć zromatyzować młodością siły i udostępnić mu przez wyobraźnię widnokręgi, **wykorzystać**.

Otóż myśmy nawet słowo „wykorzystać” obarczyli poetycką niechęcią. A przecież od wykorzystania realiów teraźniejszości a nie teraźniejszych marzeń, życzeń, czy doktryn, zależy rzeczywistość nie urojona przyszłość nasza.

Realia teraźniejszości wykorzystać można wielorako. Każda metoda narzuca określony kierunek przyszłości. Tych kierunków może być szereg. Wybrać najkorzystniejszy i najpewniejszy jest rzeczą instynktu i roztropności narodu. Aby móc jednak wybierać, naród musi mieć precyzyjnie działającą wyobraźnię, uwydatniającą każdy szczegół możliwych do zrealizowania przyszłości.

Wyobraźnia narodu to aparat reflektujący teraźniejszość na ekran przyszłości. A nie czarnoksiężska szklana kula, w której, ir bardziej człowiek słaby, tym piękniejsze widzi obrazy swej siły i urody. Wyobraźnia narodu to mężowie stanu, statysty, uczeni, pisarze, społecznicy, kapłani słowem ludzie, którzy noszą przyszłość w swej duszy, jeśli nie bezprawnie się mienią tym, czym chcieliby być. Każdy człowiek nosi przyszłość w swej duszy. Nie każdemu jednak na skutek warunków fizycznych, umysłowych, społecznych, czy rodzinnych dane jest mieć nieustannie dzień za dniem obejmować sprawy całej społeczności i kontrolować czas teraźniejszy pod kątem potrzeb, możliwej do zrealizowania, najkorzystniejszej dla wszystkich — przyszłości. I dlatego to, co nazywamy wyobraźnią narodu, nie może być mgławicą marzeń jakiegoś społeczeństwa, ale musi żyć namacalnie w ludziach, którym wiele dano poto, by wiele od nich żądać.

Jeśli wyobraźnia narodu żyje tylko raz na kilkadziesiąt lat, objawiającymi się geniuszami, wówczas naród taki przypomina dymiący wulkan, który może kiedyś znów zagrzmie ogniem, lecz chwilowo niegroźny interesuje wyłącznie turystów, ślizgających się po zastygłej lawie i ksztuśzących się pióropuszem dymu, ostatnim śladem zamierchłej podniebnej sławy. **Wyobraźnia narodu normalnie rozwijającego się, a takim wreszcie chcemy być, musi działać bez przerwy.** Z ostrością dalekowidztwa geniuszów, choćby geniuszów stuleciami nie było. Setka wybitnych uczonych potrafi chyba odkryć te same prawdy, co jeden geniusz. Żyjemy na krańcu epoki. Świat nowy, który ujrzy jeszcze nasze pokolenie, będzie zasadniczo odmienny od przeżytych przez nas czasów. Nie jest to fra-

zes pseudoprorocy, lecz proste uświadomienie sobie olbrzymich przemian, które dokonały się w świecie. Siłę tych przemian i kierunki, które przemiany te przyszlności rodzaju ludzkiego wyznaczają, musi zbadać, ocenić i ustalić wyobraźnia naszego narodu. Jednocześnie dokonały się przemiany olbrzymie w narodzie naszym. Dziś, kiedy trzon naszego narodu polskiego wzrasta trzon narodu polskiego wzrasta znów w swą ziemię, kiedy nad Bałtykiem, nad Odrą, nad Nysą ustala się typ polskich społeczności, z których zrodzą się nowe pokolenia Polaków, musimy uświadomić sobie w pełni, jakie typy Polaków wyrósł mogą w tej nowej Polsce wpartej w zachód i które z nich mają przeważać, aby korzyść była i dla Polski i dla świata.

Kiedy w r. 1932 wszedłem do berlińskiej redakcji „Młodego Polaka w Niemczech”, usłyszałem wówczas takie przykazanie: „Pamiętaj, że u nas nie pisze się dla chłopaków i dziewczyn w wieku szkolnym, obywateli państwa niemieckiego, ale pisze się dla obywateli państwa polskiego, takich jakimi będziesz ich chciał widzieć, jako dojrzałych ludzi w Państwie Polskim w r. 1950 czy w r. 1960”.

Ta prosta prawda była dla mnie przeżyciem ogromnym i do dziś odczuwam ówczesny skurcz serca, nie pewnego, czy umysł potrafi uderzać tak dalekosiężnie. Każdy artykuł, każda notatka w redakcyjnej pracy musiała być projektowana na czas nie teraźniejszy a przyszły. Odpowiedzialność za każde słowo stawała się ciężarem nie do udźwignięcia.

Na Zjeździe Literatów Jerzy Zagórski wystąpił z druzgocącym oskarżeniem lekkomyślnego w Polsce słowa. Nas nie stać na słowa lekkomyślne, jątki jednodniówki, słowa które żyją tylko w teraźniejszości, a zatem zwiększając ciężar przeszłości. Kiedyś Julian Przybóś napisał rzecz o Mickiewiczu, którego wielkość odnalazł w „słowie ostatecznym”. Słowa ostateczne, równie ważne dla teraźniejszości, przeszłości jak przyszłości — oto słowo-klucz wyobraźni narodu.

Mężowie stanu, uczeni, pisarze, społecznicy, kapłani muszą mówić dziś, kiedy ustala się nowy polski i ludzki świat, słowem ostatecznym, słowem, które będzie językiem roku 1970 i 1980, językiem ludzi tych, którzy już dojrzejają w ojczyźnie **jeszcze niewykorzystanej** a którzy przejmą po naszym pokoleniu obowiązki wobec narodu i ludzkości.

W świecie jest dziś głód wielkich koncepcji przyszłościowych. W Polsce opóźnionej słabością i zniszczeniem, głód ten zaspakajany jest razowcem potrzeb odbudowy państwa i marcepanami pobożnych życzeń i niepobożnych ideologii. Czas jednak nie czeka. Rodzą się nowe pokolenia,



Północne zbocza Śnieżki, królowej gór śląskich. Raj dla narciarzy, poetów i gruzlików. Jedźcie i podziwiajcie. Fot. Leonard Siemiaszko.

DMI 541 05- R 30-



które nie chcą bełkotu czasów pogardy, ani sloganów powojennego chaosu. Te nowe pokolenia chcą wiedzieć, w jakich warunkach mogą wyrosnąć i **jaki język będzie ich światem.**

Musimy natężyć wyobraźnię narodu, musimy zbadać sumiennie, jakie realia stworzyć jesteśmy w stanie i musimy się zdecydować, do jakich realiów nagiąć chcemy przyszłość. Mężowie stanu, statysty, uczeni muszą nam powiedzieć, jakie realia zdecydować w świecie, społecznicy muszą nam powiedzieć, jakie realia wytworzyć potrafi nowa polski społeczność, pisarze i kapłani, odkrywcy dusz ludzkich, muszą powiedzieć nam, jakie duchowe przemiany wywołała w narodzie polskim katastrofa epoki i jakie tych przemian będą konsekwencje.

To musimy wiedzieć, aby wiedzieć przyszłość mądrością ludzi roztropnych. A przyszłość widzieć musimy, aby wiedzieć, jak mamy pracować i jak mamy mówić i jak mamy myśleć i czuć, abyśmy byli narodem szanowanym przez innych a przede wszystkim przez następujące po nas pokolenia. „Zadaniem emigracji polskiej — pisał prof. Dr. Kriedl — wobec braku konkretnego pola do działania, jest prze-

kształcenie swej psychiki na miarę tej przyszłości, która przyjdzie, jest myślenie i czucie kategoriami przyszłości“.

Zadania tego emigracja wypełnić nie mogła, bo nie miała gruntu rzeczywistości, która wówczas była jeszcze katastroficzną przyszłością. Zadanie to wypełnić mogą dopiero dziś ludzie żyjący w kraju, kiedy obraz przemian polskich po katastrofie ustalił się na tyle, że mogą być podjęte badania nad możliwościami rozwoju właściwie zupełnie nowej rodzącej się dopiero polskiej pełnej społeczności.

Imperatyw myślenia i czucia kategoriami przyszłości uderza teraz ze zdwojoną siłą na tych, którym dane są warunki wyrażania wyobraźni narodu.

Tego, że najistotniejszym elementem badań nad przyszłością naszego narodu są społeczne siły Polactwa na Ziemiach Odzyskanych, podkreślać nie potrzeba. **Kto chce zrozumieć przyszłość naszą i język naszych synów i wnuków, ten musi rozpocząć studia od tych ziem.** Odnosi się to do wszystkich ludzi wyobraźni narodu. **Dla pisarzy jest to jednak warunek życia ich słów.**

Przyszłość zaś nagina się tylko do tych realiów, które potrafi stworzyć człowiek.

Zbyszko Bednorz

## Paniom klasztoru trzebnickiego

W gotyckich refektarzach bunt sklepione...

Matki — Chrystusem w rannej spłonęły komunii —

Ale od ciemnych twarzy idzie cień po sieni.

I przy furtach uzbrojone, cesarskie dragony:

Opat Ludwik z Lubiąża poskramia Polki dumnie.

Święte cele i święte kaplice.

Prawdy surowe w prostych krzyżach.

Suche oczy ku świętej Jadwidze.

Grzech ryczy w habsburskich przeoryszach...

W gotyckich sercach bunt sklepiony —

Wojnę między Polską a Niemcami

Niosą klasztorne dzwony.

Kazimierz Popiołek

## Nieodzowna książka

### CO PRZYNOŚI KSIĄŻKA

Pojawienie się w ramach wydawnictw Instytutu Śląskiego książki profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego dra Kazimierza Piwarskiego,\* dającej syntezę dziejów Śląska od początków naszej historycznej przeszłości aż po ostatnie prawie lata, jest w naszym życiu naukowym wydarzeniem niemałej wagi. I to nie tylko dlatego, że książka ta w obecnej dobie naszego powrotu na cały Śląsk spełni ważną rolę zapoznania społeczeństwa z dziejami tej odzyskanej dzielnicy, ale i dlatego, że właściwie nie bardzo się można było spodziewać, aby opracowanie tego rodzaju mogło się już teraz pokazać mimo ogromnej jego potrzeby. Synteza może się bowiem wyłonić dopiero z możliwie dokładnego, wszechstronnego monograficznego opracowania wszystkich ważnych zagadnień, a jeżeli chodzi o syntezę o przeznaczeniu popularystycznym (jak to ma miejsce w książce Piwarskiego) to opracowanie takie winno zostać wyprzedzone syntetycznym opracowaniem o charakterze naukowym. Otóż tego rodzaju opracowanie mamy tylko dla okresu średniowiecza (po rok 1400) w przedwojennym wydawnictwie Polskiej Akademii Umiejętności. Jeżeli zaś chodzi o czasy późniejsze, to tutaj miał autor do dyspozycji tylko nie zbyt liczne, różnej wartości naukowej opracowania, odnoszące się tylko do niektórych zagadnień, pomijające względnie nie należycie wyjaśniające wiele innych podstawowego znaczenia. Toteż tutaj autor musiał oprzeć się na swoich własnych badaniach.

W rezultacie książki Piwarskiego to nie tylko zwykły podręcznik, ale równocześnie, zwłaszcza w zakresie dziejów nowożytnych i najnowszych, pierwsze naukowe opracowanie całego szeregu spraw. Tego rodzaju dwoisty, jakby można powiedzieć, charakter tej książki stawia recenzenta przed nie małym kłopotem. Nie wystarczy tu bowiem zdać sprawy jedynie z tego, czy autor zgodnie z dotychczasowym stanem wiedzy, a należycie jasno i przystępnie przedstawił sprawę w nauce już ustaloną. Trzeba tu równocześnie zająć stanowisko wobec sądów autora, wobec spraw przez niego wyjaśnianych, a w nauce dotychczasowej albo w ogóle albo nie wystarczająco opracowanych. Ze względu zaś na charakter podręcznikowy książki autor nie mógł oczywiście swych poglądów szerzej uzasadnić, mógłby to uczynić dopiero w znacznie szerszym, naukowym opracowaniu (nad którym zresztą, jak nam wiadomo, pracuje). Mimo to nie wolno ograniczyć się do omówienia książki tylko z punktu widzenia jej popularystycznego przeznaczenia, gdyż książka ta poza doskonałym spełnieniem tego zadania równocześnie w całym szeregu zagadnień toruje nowe drogi, formułuje nowe poglądy.

### PRETENSJE I POPRAWKI

Swoje dzieje Śląska ujął prof. Piwarski pod wyraźnym, specjalnym kątem widzenia, a mianowicie pod kątem widzenia walki z niemiecką. Jest to niewątpliwie w dziejach Polski, a zwłaszcza Śląska, jeden z najistotniejszych problemów, toteż

takie ujęcie pozwala na wydobycie większości najważniejszych spraw z przeszłości Śląska, ale przecież nie wszystkich, a poza tym nadaje ono specjalny charakter całemu opracowaniu, wpływa na dobór materiału, na ocenę zdarzeń i ludzi. Patrząc więc np. pod tym kątem widzenia na dzieje średniowieczne Śląska, autor bardzo surowo ocenia działalność tych książąt śląskich (jak np. Bolesława Wysokiego czy Henryka Brodatego), którzy przy swej trosce o gospodarstwo podniesienie kraju otworzyli wrota niemieckiej kolonizacji. Słuszne jest niewątpliwie stwierdzenie, że ich działalność przyniosła pod tym względem w rezultacie szkody (na które złożyło się cały szereg innych, późniejszych od nich już niezależnych czynników), ale już mniej słuszne wydaje się zgłaszanie z tego powodu pod ich adresem pretensji. Tym bardziej, że nie można obecnymi kryteriami narodowymi mierzyć tamtych czasów.

Natomiast niewątpliwie słuszne jest podkreślenie autora, że przejście Śląska w wieku XIV pod panowanie czeskie było właściwie zwycięstwem niemieckiej i pozaśląskiej, że zadecydowało o oddaniu kraju na łup germanizacji, prowadzonej następnie z dużym nasileniem przez Habsburgów, usystematyzowanej przez Hohenzollernów, potężniejszej i doskonalszej przez wieki następne aż po nasze czasy hitlerowskiego barbarzyństwa. Akcja germanizacyjna wydaje rzeczywistocie z czasem pewne wyniki. Cofa i kurczy się śląska polskość, odpadają warstwy wyższe: książęta, szlachta, duchowieństwo, duża ilość mieszczan zwłaszcza Śląska Dolnego. Dzieje się to wszystko niestety przy zupełnej neutralności i obojętności reszty wolnego jeszcze narodu, który pociągnięty innymi sprawami, nie interesuje się losem Śląska, chociaż nadarzała się niejedna okazja powrotu nad Odrę.

Niewątpliwie cofanie się śląskiej polskości nie było jednak ani tak powszechne, ani tak prędkie, jak to nawet w naszej nauce do ostatnich czasów było przyjmowane. Autor podaje wiele konkretnych przykładów jako świadectwo podziwu godnej mocy trwania polskiej ludności Śląska. Jej polskości, która od pierwszej chwili zaczyna się bronić, wkrótce przechodzi nawet do ataku, zmuszając w wieku XV/XVI i późniejszych swych niemieckich książąt do uczenia się po polsku, księżę do odprawiania nabożeństw i kazania po polsku, dla której musi się drukować polskie książki w niezmiernym Wrocławiu i gdzie indziej.

Polskość ta, ponosząc oczywiście straty, ale przecież przetrwała na znacznym obszarze Śląska nawet systematyczną akcją germanizacyjną pruskich Hohenzollernów, a w w. XIX na Górnym Śląsku i w kilku powiatach Śląska Dolnego rozpoczęła walkę o odzyskanie swych praw. Nadchodzi okres tak zwanego odrodzenia narodowego. Proces ten kreśli autor w zasadniczych rysach, dając tu po raz pierwszy w naszej nauce pełny, jasny obraz głównych etapów w ich logicznym po sobie następstwie, kreśli ciekawe sylwetki najwybitniejszych działaczy. Być może, że niejednym z sądów autora napotka na sprzeciw, wywoła za-

strzeżenia, może ulegnie pod ich wpływem pewnej modyfikacji, zasadnicza jednak linia utrzyma się niewątpliwie.

### O CZYM TRZEBA PAMIĘTAĆ

Na jedną jednak ważną sprawę chciałbym tu zwrócić uwagę. Oto z lektury tej partii książki prof. Piwarskiego czytelnik odniesie wrażenie pewnego opóźnienia Śląska w stosunku do reszty narodu, który tego procesu zapewne albo w ogóle nie potrzebował przechodzić, albo go ma dawno za sobą. Nie wiem, czy wywołanie takiego wrażenia leżało w intencjach autora, ale takie wrażenie powstaje. Otóż niezależnie od stwierdzenia, że oczywiście zachodzi pewna odmiennność procesów budzenia się świadomości narodowej na Śląsku a gdzie indziej (spowodowana wczesnym oderwaniem od reszty narodu) podkreślić trzeba, że odmiennność ta dotyczy jeszcze innych spraw, o których się zapomina. Trzeba pamiętać, że **proces odrodzenia narodowego na Śląsku dotyczy warstwy chłopów i robotników**; podczas gdy np. współczesne mu powstania polskie, wspierały wykwit dojrzałości narodowej, to **dzieło szlachty i wyrosłej z niej inteligencji, dzieło, wobec którego obojętnie a często nawet zdecydowanie wrogo zachował się chłop w Królestwie czy Galicji.** Wtedy, gdy lud śląski wybierał posłów centrowych, **chłopi w Galicji wybierali posłów szlacheckich**, nic wspólnego z ich interesami nie mających. Wtedy, **gdy Miarka imieniem śląskich chłopów i robotników, czytelników swych gazet, składał deklarację wierności królowi pruskiemu** (nad czym tak autor boleje), **wtedy również imieniem nie umiającego czytać ni pisać chłopu galicyjskiego robili to posłowie szlacheccy.** Trzeba pamiętać, że **prasa polska na Śląsku w pewnych okresach czasu miała więcej prenumeratów (a byli to prawie wyłącznie chłop i górniczy) niż cała prasa polska w Galicji (o ileż od Śląska Górnego większej!** Sprawy te nie zostały jeszcze od tej strony w naszej nauce podjęte, nie miał się więc tu autor na czym oprzeć. Nie mniej wydaje mi się koniecznym podkreślenie tej sprawy, że inne warstwy społeczne reprezentują dążenia narodowe na Śląsku i w innych dzielnicach. O tym trzeba pamiętać, gdyż inaczej powstaje obraz fałszywy.

### DALSZE POPRAWKI

Omawiając w osobnym krótkim rozdziale proces odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim autor podobnie jak dla Śląska Górnego ujmuje go w jasnych zasadniczych rysach, zwraca słuszną uwagę na skomplikowanie sprawy walką z Czechami, wymienia wybitniejszych działaczy. Pominął jednak przy tym takich, którzy bezwzględnie na wspomnienie nawet w krótkim rozdziale zasługiwali. Zamiast np. Piątkowskiego, który właściwie niczym szczególnym się nie wyróżnił, należało wymienić ks. Franciszka Michejdy (niewątpliwie więcej zasłużonego od dr Jana Michejdy) czy księdza Ignacego Świeżego, właściwego twórcę partii polskich katolików na Śląsku Cieszyńskim.

Omawiając okres powrotu części Górnego Śląska do Polski autor daje wyraz przekonaniu, że ze szkodą dla sprawy nie zdecydowano się w odpowiednich momentach na stworzenie faktu dokonanego. Z tego po-

wodu krytycznie ocenia ówczesną działalność Korfantego (do którego w ogóle odnosi się z dużą rezerwą). Robienie jednak zarzutu Korfantemu, że w trzecim powstaniu swą decyzją zlikwidowania powstania w momencie podejmowania inicjatywy przez oddziały powstańcze (?) spowodował załamanie się polskiej akcji, nie znajduje moim zdaniem uzasadnienia w obiektywnej ocenie ówczesnych warunków i możliwości. Wydaje mi się, że winien się w naszej nauce utrzymać pogląd, że **decyzją likwidacji powstania — w granicach ludzkiej zdolności przewidywania — była najlepszym wyjściem z ówczesnej sytuacji.** Autor podaje datę przyjęcia przez Radę Ambasadorów rozstrzygnięcia w sprawie Śląska w dniu 19. X. 1921 jako decydującą dla podziału kraju. Raczej należałoby tu przyjmować tak jak dotychczas datę 20. X., datę wydania ostatecznej decyzji przez Radę Ambasadorów.

### KSIĄŻKA SPEŁNIONYCH NADZIEI

Piwarski dał nam w swej Historii dzieje polityczne Śląska. Na dzieje gospodarczo-społeczne będziemy niewątpliwie jeszcze musieli długo czekać. Starł się jednak autor zwrócić uwagę i na pewne zagadnienia gospodarcze i społeczne, w szczególności tam, gdzie się łączyły z **naczelnym problemem walki z Niemcami.** Znajdujemy więc np. ciekawe wiadomości o buntach górników w w. XVI czy chłopów w. XVIII i XIX. (Szkoda, że nie wspomniał o Franciszku Chroścuzu, śląskim Drzymale, ofiarze pruskich ustaw wyjątkowych.) Za mało jednak miejsca poświęcił omówieniu początków i roli wielkiego przemysłu, choćby w dziedzinie walki narodowej, ograniczając się jedynie do zwięzłego naszkicowania sprawy, zresztą w najważniejszych liniach. Wprawdzie nasz dotychczasowy dorobek naukowy w tej dziedzinie nie daje zbyt dużo należycie opracowanego materiału, nie mniej jednak można było i — moim zdaniem — należało znacznie szerzej przedstawić to zagadnienie, które w sposób decydujący wpłynęło na sprawy gospodarcze, społeczne, kulturalne i narodowe Górnego Śląska.

Książka prof. Piwarskiego o przeszłości Śląska jest poważnym dokonaniem tak z punktu widzenia naukowego jak i ze względu na aktualne potrzeby naszej obecnej rzeczywistości. Jednym z koniecznych warunków należytego rozwiązania problemów, wynikających z odzyskania Ziemi Zachodnich, jest ich jak najdokładniejsze poznanie. Odnosnie Śląska zadanie to umożliwia właśnie praca prof. Piwarskiego, dająca w oparciu o bogaty materiał faktyczny, jasny, wewnętrznie logicznie zbudowany, obraz polskiej przeszłości Śląska. Umiał przy tym prof. Piwarski połączyć dwie, nie zawsze łatwe do pogodzenia zalety: mianowicie podać materiał, oparty na rzetelnej naukowej podstawie, w sposób przystępny, ciekawy, tak że lektura jego książki będzie nie tylko pożyteczna, ale również przyjemna, w niejednej nawet partii pasjonującej dla każdego polskiego czytelnika.

Oczekiwana z taką niecierpliwością książka prof. Piwarskiego usprawiedliwiła nadzieje, jakie z nią wiązaliśmy, spełniła postulat, jakie jej można i trzeba postawić.

\* Kazimierz Piwarski: Historia Śląska w zarysie. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice — Wrocław 1947. Stron 448.



Gustaw Morcinek

## ZEGOTA

(Fragment)

Na granicy francusko-belgijskiej zbudzili go celnicy.

Pociąg stał na jakiejś obcej stacji i dyszał z utrudzenia.

— Ma pan co do oclenia? — zapytał jeden z nich dobrodusznie.

— Wódkę, jedwabie, wino... — dodał drugi.

Potem poszli, trochę śmieszni w swych wysokich czapkach do przodu nachylonych, trochę zabawni, bo podobni byli do dwóch pocziwych wujaszków, którym jest ogromnie przykro, że mu przerwali sen na ławie i że niepokoili go swymi pytaniami.

— Więc to już Belgia? — zdziwił się i spojrzął w okno.

W wagonowym przedziale błąkał się zapach starego dymu tytoniowego i śmiecia pod ławami. Poza tym był jeszcze stęzły zapach ludzi.

— To nie jest zapach ludzi! — zauważył towarzysza. — To jest zapach szarego człowieka i jego szarej troski. I jego szarych myśli... — dodał jeszcze.

Za oknami po obmokłych łąkach płożyła się niska, gęsta, szara mgła.

Mgła była przede wszystkim szara. Patrzył na nią z zdumieniem, bo nie widział już jej od siedmiu miesięcy. Od chwili, gdy późnej jesieni wyjechał z Alp francuskich do Italii. W Italii było tylko słońce, błękit, wino i mimozy. Potem były jeszcze róże i gwoździki. Wzdłuż dróg kwitnęły maki i szare asfodelie. Maki kwitnęły jeszcze na Monte Cassino. A między makami błąkał się czad nieopogrzebanych ciał ludzkich. Przyspane kamieniami! na dnie zapadłych jarów, między nieusuniętymi minami, rozkładały się powoli w słońcu. Czasem nadleciał ciepły wiatr od morza i wtedy czad ginał, gdyż wiatr pachniał morzem i przestrzenią. Naokoło, wszędy, na stokach, na graniach, między czarnymi kikutami osmalonych drzew płożyły maki. W ich purpurze było coś bezwstydnego, coś cynicznego, coś zuchwałego bez granic. Zwłaszcza gdy na drobnej ściężynce dostrzegł usypisko kamienne, a spod kamieni wysterkujące piszczele ludzkie. Kości były szare. Wędrowały po nich mrówki. Nachylił się i pod głazem dostrzegł niemiecki hełm przedziurawiony na ciemieniu, a w hełmie ludzka czaszka. Czaszka była również szara, opłukana deszczami, wysuszona słońcem, oczyszczona przez mrówki. Teraz płowiała powoli w słońcu i spod obsuniętego hełmowego okapu patrzyła w błękit. Koło czaszki zaś pyszniły się wspaniałe maki...

Mgła wlokła się teraz po łące, a czarne, wysokie, czubate drzewa tonęły w niej po wierzchołki. W ich wilgotnej głębi śpiewał ptak. Śpiew jego był suchy i jakby senny. Zdawałoby się, że to wrota stodoły skrzypią, potrącane wiatrem. Za stodołą kulały ludzkie głosy, puszyste jakieś, jakby owinięte watą, bez wyrazu, bez gestu. Potem śpiew ptaka i głosy ludzkie przepadły we mgłę, bo pociąg ruszył.

Na mgłę patrzył wciąż w zdumieniu. Wywoływała u niego bolesne wzruszenie, mające jednak w sobie posmak tajemnego uradowania. Oto przez drobną chwilę ujrzał się za kolczastymi drutami w obozie. W ich obrębie wyczuwało się czas jako szarą pustkę bez początku i bez końca, a w której wszystko umarło. Nawet sam czas umarł. I ten umarły czas wydawał mu się wów-

czas tak samo szary, jak szare było jego życie i jego myśli i jego serce. Wszystko było wtedy szare, bezgranicznie szare, bez początku i bez końca, i wszystko było umarłe.

Pociąg już teraz gnał wśród mgły, a jego rytmiczny łoskot przywodził mu zniecała inne wspomnienie. Oto nieoczekiwanie ujrzał siebie w windzie, wynoszącej się z dna szybu na powierzchnię. Winda leci z zelestem pod górę, w dłoniach kołyszą się za kurzone lampki górnicze, a ich brudne, rdzawe światelko liczy uciekające belki poprzeczne. Jakby ktoś w biegu wiodł patykiem po sztachetach płotu. Zapadające się belki szybowego ocembrowania podobne są do zdumionego mrugania nocy, którą jego światelko zbudziło z uśpienia. Naokoło szumi czarny wicher, w uszach rozgniata się wilgotny, płaski głos ciekącej wody, woda zaś lśni czarnymi, lakierowanymi bryzgami, a ludzkie serca trzepocą się w pierśiach, jak szare ptaki. Potem winda zniecała wynurzy się ze studni, a spłoszone oczy uchwycą światło dzienne, przesycone zakurzonym słońcem. I znowu wszystko jest szare. Twarze, oczy, dłonie, światelka w lampach, rozwierająca się przestrzeń przed nimi, błękit i to słońce wypłowiało. Wszystko jest więc szare, a słońce jest chore i blade, jak anemiczne dziecko, bawiące się na stoku hałdy. I jeżeli stanąć potem przed szybem i spojrzeć w krąg, zdawało się, że Bóg rozpiął nad ziemią ogromną szklaną kopułę, lecz kopułę zakurzyli ludzie cządem i pyłem węglowym.

Pociąg nie ustawał w biegu. Mgła uniosła się z ziemi i uczyniła niebo niskim i jeszcze bardziej szarym. Od morza nadleciał wiatr. Bił go po twarzy jakby wilgotną szmatą i pachniał, jak chyba samo morze pachnie. Takie szare i bezkresne morze pod niskim szarym niebem.

Przypomniało mu się przeto morze, które zostało poza nim.

Morze, które zostało w wspomnieniu, było błękitne.

Słońce rozmięniało się w nim na jarzące łuski, spod nieboskłonu zaś szły i szły błękitne fale z białymi koronami na czubach. Morze dyszało słońcem, życiem i wiecznością. Z boku sterczał podniesiony dziób storpedowanego statku-cysterny. Dziób był czarny i ponury, jak ta śmierć, która w nim zamieszkała. W głębi statku, pod wodą, jeżeli pobici marynarze Morze wymywało z rozprutych cystern oliwę i przynosiło do brzegu. Jeżeli wiatr wiał od skalistego cypla, woda lśniła tęczą oliwy. Na skalistym cyplu szarzało zburzone miasto, a w przystani leżały pogruchołane statki i okręty. Oto przyszła pewnego razu straszna burza, rozpętana przez szatana, i bomby lecące spod nieba zmieniły wszystko w cementarz.

Jeżeli jednak wiatr powiał od zachodu, morze stawało się czyste i błękitne. Robiło to wrażenie, że wiatr nawiewa nań błękit z nieba.

Przekwitnęły już mimozy, przekwitnęły glicynie, przyszła kolej na gwoździki i na maki. Niebo i morze były wciąż błękitne, lecz ziemia płowiała, gdyż słońce wypalało trawy i powlekało pola srebrem. Nad ziemią dygotało rozpalone powietrze, a jedynie od morza niósł się radosny chłód, podobny do smaku wina.

Po południu schodziła Hanka na brzeg.

— Pójdiesz ze mną? — pytała i patrzyła mu w oczy. Jej oczy były szare i lekko skośne. Czasem przymykała je nieznacznie, a wtedy stawały się jeszcze bardziej skośne i tajemnicze. Trudno było dostrzec, co pali się w ich głębi.

Na brzegu stały kabiny, sklecone z wyłowionych desek. W ścianach były szpary i kiedy dziewczyna rozbierała się, słońce kładło złote smugi na jej nagie, opalone ciało. Potem wychodziła w szarym, wełnianym trykocie i rzucała się w morze. Stary rybak zaś, właściciel kabin, siadał u drzwi w słońcu, patrzył zamyślony na dziewczynę i żuł gotowaną fasolę.

Hanka kładła się na wodzie i pozwalała się kołysać na drobnych falach. Pod głowę podłożyła gutaperkową poduszkę, wypełnioną powietrzem. Zakładała ramiona na kark i patrzyła urzeczona w błękit nad sobą, a jej młode, jędrne, wspaniałe ciało stawało się wyzywające w swej zuchwałej urodzie i było pełne zduszonego krzyku za miłością i za macierzyństwem.

— O czym myślisz, kiedy patrzysz w błękit? —

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się nieznacznie.

— O czym myślę? ... Trudno mi to określić! Ale powiem! ... Uwielbiam Boga i myślę o doznanej krzywdzie!

— Kto cię skrzywdził, Hanko? —

— Ludzie! — a wtedy oczy jej stały się zimne.

— Jak możesz jedno z drugim pogodzić? —

— Widzisz, bo ja myślę nie o tym Bogu, pełnym miłości, lecz o Jehowie, pełnym pragnienia zemsty! ... O tym Jehowie ze Starego Testamentu! ... — dodała.

Nazajutrz znowu położyła się na wodzie i znowu pozwoliła się jej kołysać, i znowu patrzyła zamyślona w błękit nad sobą. Potem odwróciła do niego głowę i rzekła:

— Przypominasz sobie ów mit grecki o jakiejś dziewczynie, która oddała się słońcu? Już nie wiem, jak jej było na imię i kto o niej wspomina. Homer czy Eurypides? ... I z tej osobliwej miłości urodził się jakiś Bellerophonos... Nie, to była sprawa boga Eola! Mniejsza z tym... W każdym razie z tej osobliwej miłości urodził się jakiś wspaniały heros czy zgoła bóg! ... Ja pragnę oddać się nie tylko słońcu, ale i morzu! ... Chciałabym potem urodzić dziecko o tak błękitnych oczach, jak „nasze morze“, i tak jasne, jak to słońce! ... Takiego herosa, który by nie miał w sobie nienawiści i pragnienia zemsty, jak jego matka... Takiego drugiego Heraklesa czy świętego Jerzego pragnęłabym urodzić, którzy umieli pognać zło ...

Lecz już temu bardzo dawno.

Dzisiaj nad „ich morzem“ — jak mawiała Hanka — przelatują wichry i orzą je rozczapierzonymi pazurami. Morze ryczy i ciska się spienione na skalisty cypel, gdzie szarzej zburzone miasto. W ruinach patrycjuszowskich kamienic i w rozłupionych wieżach kościelnych gnieźdzą się jakieś czarne ptaki, a między rumowiskiem przebiegają chyłkiem duże, szare, parszywe szcury. Podczas burzliwych nocy zaś wychodzą z morza topieice. Są to pobici marynarze ze storpedowanego statku-cysterny. Wynurzają się z odmętów bladej, ze szklanymi oczami, ociekający zieloną wodą, wążą na stromy brzeg skalisty i błądzą

wśród ruin miasta. Potem siadają rzędem pod pozostałą ścianą katedry i patrzą nieruchomo. Nad ranem wstają i schodzą w głębinę, i wtedy wicher ustaje a morze się ucisza.

Tak mówił im ów stary rybak, wynajmujący kabiny na brzegu.

Hanka wtedy słuchała jego opowiadania, jak zdumione dziecko.

— Dlaczego oni wychodzą z morza? — zapytała.

Rybak wypuł łuski fasoli i spochmurniał.

— W tym miejscu, na tym brzegu zabito kiedyś, kiedyś jednego świętego. To był święty Maroni. Dziwnie się nazywa, lecz tak się nazywał i był świętym człowiekiem. I kto w tym miejscu utonie, musi w czasie burzy wychodzić na brzeg i czekać ...

— A na co musi czekać? —

— Musi czekać na taką chwilę, w której Antychryst zginie! ...

— Antychryst? —

— Tak, Antychryst! Tamto miasto zburzone i tamte statki w morzu, to wszystko robota Antychrysta. I śmierć tamtych ludzi, to też ...

— A doczekają się? —

Spojrzała na nią, uśmiechną blado.

— Powiadają, że się doczekają, lecz my chyba już nie!

Zegota śmieje się teraz z tego wszystkiego, chociaż posiada to dla niego jakiś dziwny urok. Przede wszystkim dla Hanka. To jest dziewczyna egzaltowana, aczkolwiek umiała zadawać śmierć w czasie warszawskiego powstania z dziwnym okrucieństwem. Ktoś powie, że to nie było okrucieństwo, lecz pogarda śmierci i bohaterstwo, lub przynajmniej odwaga i brawura. Niech i tak będzie. Ilu Niemców poniosło śmierć z jej ręki, nie wie. Nie chce nawet wiedzieć. Twierdzi, że gdyby ich stokroć więcej zniszczyła, nie stanowiłoby to dla niej rekompensaty za doznane krzywdy własne i Polski.

Uczucie nanawiaści przechodzi u niej w jakąś obsesję i zapewne nie zdoła mu się obronić. Walczy również z Antychrystem — jakby powiedział stary rybak — a nie może go zmoc. Pytał się jej, czy umie się modlić. Powiada, że nie. Czasem tylko dochodzi do niej cień osobliwej łaski i wtedy wstępuje po drodze do zaniebanego kościółka na wzgórzu, stanie w proggu i powiada: — Dzień dobry, Jezu Chryste! ... — ukloni się, przeżegna i odchodzi. Powiada, że jej to wystarcza i że wtedy czuje się uciszona.

O tym wszystkim myślała, kiedy jego pociąg nurzał się w belgijskiej mgłę. Przed oczami przelatywały jakieś stacyjki o cudacznych nazwach, podobne raczej do wyśnionych zwidów, aniżeli do rzeczywistości. Czasem z mgły wynurzał się jakiś czarny las i podchodził do toru. Wtedy zdawało mu się, że słyszy jego tajemniczą ciszę i szelest spadających kropel z liści. Jak sobie maszynista na lokomotywie dał rady ze sygnałami, to już dla niego tajemnica. W nieoczekiwanej chwili wyczuł do niego głęboką wdzięczność, graniczącą z tklwym wzruszeniem. Oto ten człowiek nieznanany stoi teraz wychylony na tendrze i patrzy w mgłę i patrzy ... A wyciągnięte ramię trzyma na dźwigni od pary ...

Potem pociąg ją zwalniał, z mgły wyłoniło się ogromne szare miasto, Bruksela ...

(Dokończenie nastąpi)

## Tak Czesi pomagają Łużyczanom



Tak Czesi pomagają Łużyczanom. Z lewej: Odjazd wagonu cukru dla Łużyc. Cukier zebrany został przez ludność Hany. Z prawej: Piąta z rzędu kolonia wakacyjna dzieci z Górnych Łużyc przed pomnikiem Smetany w Jablkynicach. A jak się objawia nasza polska pomoc dla nieszczęśliwych braci Łużyczan?





## Sprawy teatru

## Teatry w Berlinie

10 scen teatralnych, dwie opery, codziennie trzy do czterech koncertów, i to wszystko odwiedzane bardzo licznie, przetwarzane w namietnych dyskusjach, oświetlone często bardzo odważną krytyką — to oblicze dzisiejszego artystycznego życia w Berlinie. Ile udało się ocalić z gruzów tego olbrzymiego miasta — jeśli chodzi o zasoby artystyczne — to graniczy prawie że z cudami.

Jak wiadomo — Berlin jest podzielony przez cztery władze okupacyjne na cztery strefy. Wprawdzie nie ma tu wyczuwalnych granic, co najwyżej na rogu ulicy natrafia się na napis: „You are entering the British sector now”. (Wchodzicie w tej chwili w strefę okupacyjną angielską). Ale jednak są różnice, zwłaszcza jeśli chodzi o zaopatrzenie składów w pewne towary. Z początku, kiedy jeszcze nie było połączeń komunikacyjnych, poszczególne części miasta były od siebie oddzielone. Z Neukoelln do Charlottenburga trzeba było jechać cały dzień, a rzadko znalazł się śmiałek, który by zarzykował taką podróż, obfitująca w najbardziej nieoczekiwane niebezpieczeństwa w rodzaju napadów bandyckich na ruchliwej kiedyś ulicy, lub zawałenia się domów. Poszczególne dzielnice pracowały niezależnie jedna od drugiej. To dotyczyło również działalności na polu kulturalnym, więc przez szereg miesięcy życie kulturalne w poszczególnych dzielnicach było ściśle zamknięte w obrębie danej dzielnicy. Gesundbrunnen miało inne koncerty, odczyty i kursy kształcące — aniżeli Tempelhof, Charlottenburg inne niż Dahlem. Wszystkie te dzielnice pracowały i działalność ich równała się działalności niewielkich miast prowincjonalnych. Wyniki były w dużym stopniu uzależnione od zdolności poszczególnych referentów kultury i od ilości kwalifikowanych sił artystycznych.

W konkurencyjnych wyścigach pomiędzy dzielnicami, po nawiązaniu komunikacji, pierwsze miejsce zajął Zehlendorf. Ta wytworna dzielnica willowa, znajdująca się w strefie okupacyjnej amerykańskiej, posiadała nie tylko wielką ilość niezniszczonych budynków i sal, ale zdumiewającą cyfrę kwalifikowanych artystów. Dr. Waller Baste i dr. Skutsch, którzy są referentami kultury, umieli przyciągnąć do współpracy najwybitniejszych berlińskich artystów. Prócz tego cieszą się oni zaufaniem władz amerykańskich. W domu, cudownie położonym nad brzegiem jeziora Waldsee, powstał międzynarodowy instytut muzyczny, gdzie wybitni pedagogowie na najwyższych kursach kształcą nowy narybek dla świata muzycznego. Kierownikami instytutu są Józef Ruder i prof. Paweł Hoeffer. Między docentami są: Sergius Celibicache (kierownik orkiestry filharmonicznej), Margot Hinnenberg-Lefebvre (śpiew) i pianista Puchelt, jedna z najwybitniejszych osobistości dzisiejszego Berlina.

Życie teatralne wykazuje znowu dużo ze swojej dawnej żywotności i wielostronności, tak dobrze znanej w historii dawnego Berlina. Niektóre wyczyny artystyczne są i dziś na najwyższym poziomie artystycznym. W repertuarze teatrów są zarówno sztuki najmodniejsze, jak i dawne, klasyczne. Są polityczne sztuki w stylu sztuki pt. „Nielegalni” (autor Guenther Weisenborn) lub „Profesor Mamlok” Fryderyka Wolffa, współczesne sztuki rosyjskie, np. sztuka „Burzliwy wieczór życia”, wystawiana w Teatrze Niemieckim (Deutsches Theater). Ten teatr przy ul. Schumana zachował się zupełnie niezniszczony. Teatr ten, prowadzony z początku przez Gustawa v. Wangenheim, a obecnie przez W. Langhoffa, cieszy się wielkim uznaniem i poparciem władz wojskowych rosyjskich. Współpracownikami kierownika są: Paweł Wegener, Paweł Bildt, Elza Wagner i ostatnio Gustaw Gruendgens. Po wielu miesiącach, spędzonych w więzieniu, artysta ten kreuje główną rolę w komedii „Snob” Karola Sternheimsa, która w reżyserii Wistena jest prawdziwym arcydziełem.

W państwowej operze daje się dotkliwie odczuć brak wielkich tenorów. Peter Anders nie może przecież śpiewać wszystkich partii lirycznych, a Erich Witte wszystkich pozostałych. Ale jeśli ktoś wie, z jakim trudem udało się wystudować partie oper z dawnego okresu, często bez partytur i materiału orkiestrowego, wtedy należy podziwiać dzisiejsze osiągnięcia. Chyba nigdy dotąd nie musiało życie muzyczne zaczynać od takich braków, jak w sezonie powojennym. Wystawiono operę „Opowieści Hoffmana”, tutaj popisują się sopran: miły głos z precyzyjną koloraturą Rity Streich (Olimpia), głos pełen wyrazu Karoli Gaerlich (Julietta) i lirycznej kantyleny Tiany Lentitz (Antonia). Ernst Legal, pan teatru dzisiejszego i dawnej opery państwowej,

nadał sztuce specjalny kolor, przy pomocy fantastycznych dekoracji Lothara Schenka. Kierownictwo przy partyturze Offenbacha, zwraca tej operze honor, którego odmawiano jej przez ostatnie 10 lat.

A jednak problem dyrygentów pozostaje nierozwiązany w tym milionowym mieście. Przy wystawieniu opery „Urowadzenie z Seraju”, którą kierował Karol Schmidt, brawurowa kreacja Erny Berger jako Konstancy zaćmiła szlachetnego Belmonte w wykonaniu Piotra Andersa. Jest też problemem bilans artystyczny berlińskich filharmoników. Bo młody Rumun Sergius Celibicache, który jest wprawdzie wspaniałym mistrzem rytmiki i uderze-

## Sprawa Eurydyki

„Marne rachuby człowiecze zawodzą, gdy z piekłem sprawa” powiedział Rydel w „Zaczarowanym Kole”. Pod powyższym zdaniem mógłby m. in. podpisać się Orfeusz Świrszczyński. Bowiem postać tytułowa dziwnego, tchnącego najprawdziwszą poezją utworu Anny Świrszczyńskiej przegrywa na całej linii, doznaje klęski tak dotkliwej, tak upokarzającej, że nawet najzagorzalszy pesymista winien wnieść sprzeciw. Jako? Za chwilę słabości, człowiek pokutuje całym pozostałym życiem? A gdzie są pojęcia miłosierdzia, łaski odkupienia, możności dźwignienia się z upadków?

Prawda! W antyku nie istnieją tego rodzaju pojęcia. Wprowadził je dopiero chrześcijaństwo. Nie chcę w tej chwili dotykać zagadnień religijnych. Wydaje mi się jednak, że ofiara Orfeusza, pozornie bezcelowa, nawiązuje przynajmniej, jeśli nie utożsamia się niekiedy, z zasadami religii chrześcijańskiej. Oto święty człowiek daje się unicestwić, aby jego świętości zdobyli inni.

W imię czego jednak Orfeusz walczy i pozornie przegrywa? W imię Eurydyki. Kimże ona jest? Bezsprzecznie najważniejszą postacią dramatu, czynną w swej bierności, podstępna w swej prostocie, silną w swej bezradności. Splot paradoksów, stop pierwiastków zwierzęcych, dziewczęcych i kobiecych.

Istnieje w literaturze dramatycznej poprzedniczka Eurydyki. Nie jest to bynajmniej osobistość z klasycznej tragedii czy niemniej klasycznego dramatu. To postać Strzepka, Gałganka, Świderka (takie bowiem są trzy tytuły komedijki Niccodemi'ego). Jeżeli wypowiadam jednym tchem nazwiska Niccodemi'ego i Świrszczyńskiej, nie znaczy to, abym umieszczał na tym samym poziomie zręcznego technika sceny, jakim jest Niccodemi i wybitną współczesną poetkę polską, jedno z najoryginalniejszych, najświeższych zjawisk

nia, ma zbyt mały autorytet w sprawach udźwiękowania i nie może kierować tak poważną rzeczą, jaką przedstawia utrzymanie na wysokości zadania orkiestry, słynnej niegdyś z czystości tonów. Nie inaczej przedstawia się sytuacja w miejskiej operze, gdzie odczuwa się wybitny brak sił i narybku. Repertuar obu oper był skazany na to, co można było dostać i z tego stworzono jakiś plan. Podporą jego jest Mozart, Verdi, Puccini, Czajkowski i Flotow. Wagnera na razie się nie wystawia. Z nowych rzeczy zapowiadają w Admiral-Palast Hindemitha „Mateusz malarz”, Sutermeistera „Niobe” i Dymitra Bakalewskiego „Colas Breugnon” (według Romain Rollanda). Przy ulicy Kanta (Kantstrasse), gdzie znajduje się opera pod kierownictwem Michała Bohnen, zapowiadają „Peter Grims” Brittena.

N. Z. N.

w zakresie naszego dramatisarstwa, Annę Świrszczyńską. Idzie mi tylko o garść podobieństw zewnętrznych i wewnętrznych.

Gałganek (pozostawmy już przy tej nazwie) Niccodemi'ego, to sprytna kombinacja dziecka z niewiastą, przy czym ta kombinacja jest zasadniczo dzikim tworem, dzikuską. Nie na miarę, broń Boże, „Dzikuski” Zarzyckiej ani Michalinki z sympatycznie głupawej krotoczwili Caillavet'a i Flersa „Osiołkowi w żłobie dano...”. Podobieństwo tych trzech odmian dzikusiek jest jedynie zewnętrzne. I włoski Gałganek, i polska Ita i francuska Michasia uganiają boso i z rozwichrzonymi włosami po ulicach, lasach i wybrzeżach, nie dbając o swą powierzchowność i uwarzniając otoczenie swą prostotą i bezpośredniością. Z tej trójki bosych dziewcząt najciekawsza bezsprzecznie jest postać, zawdzięczająca swe istnienie Niccodemi'emu. Jakkolwiek — co już zauważył swego czasu Boy — Gałganek niccodemiowski zdaje sobie sprawę z własnego wdzięku, mizdrzy się i kokietuje wszystkich dokoła, przecie jest w nim nutka niefalszowanej poezji (przez najmniejsze p), niemniej szczerą i ujmującą.

Eurydyka Świrszczyńskiej, to Gałganek w stokroć lepszym wydaniu. Co u Gałganka jest banałem niezamierzonym, u Eurydyki staje się banałem świadomym, celowym, a tym samym jest osiągnięciem przekonywującym, zniewalającym. Jakże na przestrzeni kilkunastu czy kilkudziesięciu zdań zanalizować bodaj pobieżnie tak niemal diabelnie skomplikowaną postać, jaką jest Eurydyka, w utworze polskiej poetki?... Od pierwszego do ostatniego ukazania się, małżonka Orfeusza jest cudownie niekonsekwentna, uczciwa w swej przewrotności, przewrotna w swej uczciwości. Kocha swego męża do tego stopnia, że może rozmyślać równocześnie o innych

mężczyznach. Ufna jest w swój czar, wdzięk, urodę, piękno, lichy wie jeszcze co, tak dalece, że nie ogarnia jej lęk przed najstraszliwymi zjawiskami rzeczywistości i oderwanymi. Przez kaprys, przez przekorę, czy przez bierność, rozmiłowuje się w państwie cieni, ściślej mówiąc w bożku śmierci, Hermesie. Pozostaje głucha na prośby i błagania męża, który dla niej pokonał moce piekielne. Czy w głębi duszy, a raczej duszyczki, odczuwa żal do Orfeusza i za co? Może właśnie za to, że był jej wierny, a tym samym nie dawał powodów do zazdrości. A w czymże świetnie wyżywa się kobieta jak nie w zazdrości?

Eurydyka Świrszczyńskiej spogląda z wyniosłą pogardą, w najlepszym razie z lekceważącym współczuciem na całą plejadę dzikusiek. Jej dzikość, pierwotność straszcząją się mniej więcej w lęku przed małymi rzeczami i odwadze wobec wielkich spraw. Jest statyczna w swej senności, w swym spokoju a nawet energii, która niespodziewanie przychodzi do głosu w chwilach, całkowicie nieoczekiwanych. A jakże powita męża, gdy ten ginie rozszarpany przez Menady? Czy rzuci mu z ufnością ręce na szyję, czy rozkochana sennie, leniwie aż do utraty zmysłów w Hermesie, odpędzi od siebie małżonka? Świrszczyńska nie daje nam na to odpowiedzi. I słusznie. Nie ma nic ohydniejszego nad wrzaskliwe głoszenie urbi et orbi, apodyktycznie, swych poglądów.

To, że Świrszczyńska, gorąco współczując z swoimi bohaterami, równocześnie znajduje się niejako na uboczu, to, że nie ma w niej cienia natrętności autorskiej, świadczy nie tylko o wielkim talencie dramatycznym, lecz i o niemiejszej kulturze.

Wiesław Gorecki.

## Do artykułu



„Szczyry” Gerharta Hauptmanna wystawione zostały w Schlossparktheater w Steglitz-Berlin.

Izydor Plaszczyk

## Ziemniaki

Drukujemy poniżej fragment śląskiej „prozy autentycznej” Izydora Plaszczyka. Autor w swych obrazkach wiejskich pokazuje nam wieś górnośląską, która żyje coraz więcej zapomniana i nieznaną w cieniu wysokich dymiących kominów. Jest to wieś ginąca, w ten sposób jego „proza autentyczna” zapamiętuje historię wczorajszego wieczoru. Szczęść a atmosfery śląskiej to największa zdobycz tych surowych fragmentów.

Brzemienna jesień powoli zrzucała liście z drzew. W przydrożnych przykopach gonili lasice.

Na rozległych polach dojrzałych ziemniaków furczały maszyny po bujnej i żółtej już naci. Furczały i naraz ucichły. Jedna z nich, hen daleko, na drugim krańcu pola wyrzucała jeszcze w powietrze sypką ziemię, zeschniętą nać i świeże ziemniaki. Ziemniaki były różne. Okrągłe, wielkie, podługne i spłaszczone. Były białe, czerwone i modre. Wyglądały jak wielkocenne pisanki. Wszystkie te ziemniaki zbierali najemnicy. Zbierali w pośpiechu, obiecając rękami. Dużo było tych ziemniaków, dużo, jak grochu. Baby nosiły ciężkie kosze, chłopcy sypani do wozów.

Rosły fury, nabrzmiwały brogi.

Pańskie pola zaczęły powoli pustoszeć. Pojechali wyrobownicy, a za nimi poszłapy

rozgadane dziolchy. Pozostały samotne, czarne i popielate jabłczyska. Dziedzic zebrał ziemniaki, lecz pozostały jedynie te, które były ukryte głęboko w ziemi, a których żelazne kopaki maszyny nie dosięgły. Po nie to, po te ukryte w ziemi ziemniaki



przyszli ludzie. Nie byli to już wyrobownicy pańscy, lecz wyrobownicy biedy. Przyszli, porozglądali się na wszystkie strony i zaczęli kopać. I rozpoczęły się wykopki. I szukali ziemniaków. Przysmyczyli z sobą koszyki, miarki, miechy i małe wózki. Chłopów było dużo, bab jeszcze więcej, a najwięcej gonili po polu mierznych dzieciaków.

Wokół tych wszystkich ludzi niebo zatoczyło błękitny pas. Zdawało się, że chce

ich do siebie przytulić. Niedaleko jabłczyska rosła koniczyna. Uśmiechała się do człowieka kwieciami czerwonym i białym.

Ludzie, głęboko pochyleni nad czarną ziemią, wyglądali jak nocne widma. Pochylili się i kopali, kopali. Szukali ziemniaków. Niektórzy skopali już całe luty i nie mieli wykopali. Inni zaś mieli szczęście. Co założyli kopaką, to wyskoczył nie jeden, ale dwa i cztery ziemniaki naraz. Czasami trafiano też na cały kier, na którym zwisały ziemniaki, jak żółędzie na dębie.

Spod wielkiej bryły wyskoczył zając i wystraszył starą Łokciową.

— Na kaj sie też tu zły duch znalazł — powiedziała i kopnęła w bryły, aż się rozprysły w proch.

Ludziska wciąż kopali, kopali i głośno się przy tym rozgadali.

— Mamó, czemu ta baba jyno porząd przy nos kopie, przeca kańdzi tyż som zimnioki — skarżyło się dziecko szkolne.

— Dej ij pokój, dej dziolszko, bo łona sama, a my dwie — uspokoiła ją matka.

Szukali ziemniaków. Na wszystkich miejscach, na całym jabłczysku. Jedni wszedz, drudzy wzdłuż. Jedni mieli pół, drudzy nawet pełny kosz.

— A wy mi tu nie kopcie pod nogami — zakrzyknął na kobietę jakiś chudy chłopina. Lecz baba nie bała się go. Jeszcze bliżej przyszła ku niemu i kopala mu pod nosem.

— Abo nie moga tam kopać, kaj mi sie podoba? Patrzcie go, tak jak by to jego pole było — odpyskła. Chłop spojrzal na



## „Gałgankowe“ historie szczecińskie

Teatr w Szczecinie urodził się z pewnego dramatycznego zdarzenia i to jest po dziś dzień jego dziedziczną „klatwą“. Zaledwie bowiem po wielkich trudnościach zdołano teatr ten uruchomić, a ledwie zaczął on się normalnie rozwijać, a już padł nań grom z jasnego nieba Ministerstwa Kultury i Sztuki. Główny mianowicie jego kierownik, organizator i reżyser, p. Bronisław Skąpski, musiał pod dwóch i pół miesiącach odejść z kwitkiem, a jego miejsce zajął z polecenia Ministerstwa były kapelmistrz jednego z teatrzyków lwowskich, p. Sylwester Czosnowski. Na miejsce doświadczonego aktora, reżysera, a co najważniejsza, dyrektora (p. Skąpski był przed wojną długoletnim dyrektorem teatru w Grodnie) przyszedł słabo z teatrem obznajomiony były kierownik muzyczny.

Skutki tego dramatu nie dały na siebie długo czekać i dziś są aż nadto dla wszystkich w docznie. P. Skąpski bowiem w ciągu dwóch i pół miesięcy (i to w najtrudniejszym, bo organizatorskim okresie) dał trzy sztuki polskie i dwie obce, p. Czosnowski natomiast w okresie bez mała czterech miesięcy — trzy sztuki obce i jedną polską. Skąpski dawał co dwa tygodnie premierę, Czosnowski daje raz na miesiąc.

Trzeba zaś wziąć i to pod uwagę, że Szczecin czerwcowo — lipcowy (podczas działalności Skąpskiego), a Szczecin wrześniowo — grudniowy — to niemal dwa różne miasta. W czerwcu bowiem Szczecin nabierał dopiero rozmachu, w listopadzie zaś przekroczył już na dobre liczbę 100.000 mieszkańców.

P. Skąpski odszedł do Słupska i tam zorganizował drugi zawodowy teatr na Pomorzu Zachodnim. I znowu ten uparty

### „Teatry w Berlinie“



Obok dramatu wielkim powodzeniem cieszy się aktualna rewia. Na zdjęciu scena z „Szabrowniczki“ (skcecz).

aktor wystawia tam co dwa tygodnie same polskie sztuki (Damy i huzary, Znajda, Ich czworo). Przygotowuje nawet „Balladynę“ na święta.

A w Szczecinie? W Szczecinie gra się przy pustej niemal sali nie Fredrę czy Zapolską, ale sztuki i sztuczki w rodzaju „Rozkosznej dziewczyny“ czy „Gałganka“. Co gorsze jednak, gra się zwłaszcza „Gałganka“ w ten sposób, że zaprotestować musiał „ZAIKS“ i „AGRIF“. P. Czosnowski bowiem dorobił do sztuki własne wstawki muzyczne i słowne o rewiowym charakterze, zniekształcając i obniżając w ten sposób utwór D. Niccodemiego. Szczególnie kompromitującą była wstawka z postacią „Cicerone“ sztuki „Cicerone“ ów wychodził przed każdym aktem przed kurtynę i pobrzękując na mandolinie, zapowiadał, że sztuka zaraz się zacznie, potem oznajmił, że już się zaczęła, następnie uspokoił publiczność, żeby się nie martwiła, bo i tak się wszystko skończy „happy-endem“, wszystko w formie wierszyków z „Płomyczka“.

**Pygmalion. Komedia w 5 aktach Bernarda Shaw'a, przekład Ryszarda Ordyńskiego. Reżyseria Mariana Godlewskiego. Premiera we Wrocławiu 5. XII. 1946.**

Każdy dramaturg jest w zasadzie moralistą, każdy moralista jest wrogiem środowiska, które obrazuje. Wydaje się, że niepodobna przez dłuższy czas uważnie przyglądać się zorganizowanemu życiu grupy ludzi, aby nie zrodziła się w obserwatorze chęć wychłostania jej przedstawicieli. Dlatego optymiści wolą żyć i nie przyglądać się otoczeniu, pesymiści natomiast — zamiast żyć — przyglądają się.

Moralisci najczęściej zwracają swe ostrze przeciw naturze ludzkiej lub klasie społecznej, czasami obciążają odpowiedzialnością obie strony. Ten ostatni wypadek zachodzi u Shaw'a. G. B. Shaw smaga satyrą ludzkość i społeczeństwo i to przede wszystkim społeczeństwo angielskie. Wielki ten kpiarz postawił sobie za zadanie walczyć z pruderią i zakłamaniem współczesności. Każda z jego sztuk jest bolesną satyrą na angielskie zwyczaje, choćby nawet akcja nie rozgrywała się w Anglii.

„Jestem brzęcząca mucha, zmuszająca ludzi do myślenia“ — mówi o sobie Shaw.

W „Pygmalionie“ rozprawia się Shaw ze średnią klasą społeczną, której symbolem stała się poprawna wymowa i sztuka zachowania się w salonie, przy zupełnym braku treści wewnętrznej. Nieprawdopodobna historia młodej kwiatarki, która w przeciągu pół roku uczy się mówić angielszczyzną warstw wykształconych i nabywa oglady towarzyskiej, co budzi w niej człowieczeństwo, jest pretekstem dla wytknięcia pustki umysłowej średnich klas angielskich.

wokół których pełno było dzieci, jak kurczęta wokół kwoki. Co baba kopnęła i kopkę z ziemi wyrwała, to dzieciska, jak te kurczęta ku kwocze, wpadały ku kopaczce, zbierały ziemniaki i rzucały je do kosza.

Szukali ziemniaków. Po całym polu. I tu, i tam. To były wykopki, to było mozolne brądenie za ziemniakami.

— Jezu jedzie, pon jedzie! — zawołała wystraszona Stefa. Ludzie zaczęli w pobliżu.



płochu uciekać. Niektórzy zostawili wszystko, co nakopali, niektórzy uciekali tylko z kopaczkami, lub próżnymi koszykami. Byłe uciec, byłe się nie dać dopaść, byłe nie być prowadzonym na policję. Uciekali, co sił starczyło. Lecz pyszny koń dziedzica szybsze miał kopyta od bosych nóg tych biednych ludzi. Już, już ich dopędzał. Jedna blada i chuda dziewczynka, nie mogła już dalej i prasała na rolę jak długa. Koń przeskoczył ją i pognał dalej.

Ponieważ p. Czosnowski, pomimo wielokrotnych upomnień ze strony „Zaeksu“ nadal wystawiał uporczywie „Gałganka“ w swojej oryginalnej przeróbce, Zarząd Główny „Zaeksu“ wysłał ostateczną depechę, żądając natychmiastowego wycofania wszelkich wstawek muzyczno-słownych pod rygorem zerwania umowy z p. Czosnowskim. Jednocześnie Agencja „Agrif“ skierowała pismo do Ministerstwa Kultury i Sztuki, protestując przeciwko samowolnemu zniekształcaniu i obniżaniu wartości granych sztuk w Teatrze „Komedia Muzyczna“.

Jest to podobno w Polsce Odrodzonej pierwszy wypadek tego rodzaju protestu ze strony „Agrifu“. Jest rzeczą przykrą, że protest ten dotyczy właśnie Szczecina. Czyżby p. Czosnowski uważał Szczecin za taką dziurę prowincjonalną, w której nikt się nie rozumie na sztuce i wszelkie „zgałgankowanie“ utworów ujdzie mu bezkarnie?

Czy też grała tu inna, bardziej przyziemna przyczyna natury komercyjnej?

## G. B. Shaw na scenie wrocławskiej

Podkreślenie szablonu umysłowego, pokryte powłoką dobrego wychowania i tradycji, wymaga bardzo wnikliwej reżyserii i konsekwentnego ukształtowania typów. Niezmiernie ważnym jest również harmonijne rozłożenie ciężkości reżyserii na wszystkie wyżej wspomniane elementy twórczości Shaw'a: moralizatorską satyryczność, paradoksalność sytuacji i sądów, wreszcie sensacyjną hałaśliwość w narzucaniu zagadnień społecznych. Przejaskrawienie jednego elementu kosztem przytłumienia drugiego — zamienić może sztukę Wielkiego Kpiarza w oschłą satyrę lub nieforemną farsę.

Przedstawienie wrocławskie utrzymane było na odpowiedniej linii umiaru. Marian Godlewski w swej koncepcji reżyserkiej trafnie odważył elementy składowe sztuki, dając obraz jednolity i zwały, a jednak błyszczący niespodziankami typowymi dla Shaw'a. Wartościowanie charakterów i co jest szczególnie ważne w Pygmalionie, dozowanie charakterystyczności wymowy, bez wciskania typów w szablony przedmieść Warszawy, czy Lwowa, — bardzo udane.

Uważałem zawsze za nieporozumienie reżyserkie, gdy Pan z Notatnikiem rozpoznal po wymowie typka zaciągającego „po lwowsku“, lub zmiekkającego spójgłoski tylko-językowe „po warszawsku-nogie“ jako mieszkańca Dovru, czy Greenwich. Ludzie prości w przedstawieniu wrocławskim mówią niebałą polszczyzną, przedłużając końcówce samogłoski i skracając akcentowane, co nie narzuca skojarzenia z żadną polską gwara dzielnicową.

Mistrzowsko operuje tą „ponadgwarową gwara“ Jan Kurnakowicz w roli Alfreda Doolittle. Przez pewną gardłowość

— Stać! Stać! Psiakrew! — krzyczał dziedzic. Więc przystanęli. Najpierw chłopci. Potem baby. Do nich przytuliły się dzieci. Trzymały się kiecek i drżały od strachu. Wszyscy dyszeli jak gońce psy. Spoglądali na dziedzica, a on się darł na cały pysk.

— Wy dranie, wy złodzieje, okraść mnie chcecie! Wvnocha stąd — krzyczał, tarosząc powyspywane ziemniaki końskimi kopytami. Dzieci płakały, chłopci przeklinali, a baby karą boską wygrażały. Mała Kasia, która najwięcej nakopała, płakała najrzewniej.

Szli do domu. Za nimi jęczał wiatr. Hałdy śląskie dziwnie na nich ślepiły.

— Jo miała pełny koszyk, mój Boże — żaliła się Aneczka.

— A jo same takie wielkie, takie na kluski — skarżyła się druga. I szli i biadali, ci ludzie. Dziedzic nie nie słyszał. Tylko niebo jakoś trwożnie spoglądało na te ledwo rozkwitłe postacie ludzkie.

Ci zaś, co skryli się przed dziedzicem w pobliskim lesie, wrócili. I zaczęli kopać i szukać ziemniaków. I nadal kopali.

— Przeca terozki już nie przyjedzie — zagadnął jeden z nich.

— A jużci ta ni, bo godajom, że jak rozlobjedzie, to mo dojś -- przytaknął drugi.

— A choćby i przyjechał, to jo już uciekoł nie byda, ni. Niech nom łod siebie do, to mu po polu trajtować nie bydymy.

— Jo tyż padom, nie łuciekać i basta. A choćby sie bić!

Tak czy owak nie pomoże to wszystko p. Czosnowskiemu. Nie pomogą też różne interwencje osób postronnych, które próbują wpłynąć na wycofanie artykułów recenzyjnych o teatrze „Komedia Muzyczna“ jeszcze przed ukazaniem się tychże, jak to miało miejsce z tygodnikiem „Szczecin“ w numerze 23! Prawda nie da się ukryć pod korcem, a fakt pozostaje faktem, że Teatr „Komedia Muzyczna“ pomimo t. zw. „lekkich“ sztuk i przeróbek utworów nadal straszy pustkami nie licznymi widzów.

Faktem poza tym jest, że teatr p. Czosnowskiego jest najdroższym teatrem na prowincji i z tego powodu jest niedostępny dla szerokich mas.

P. Czosnowski zapowiada znowu dwie sztuki — obce: „Moja siostra i ja“ oraz „Szkariatne róże“. A przecież przypominamy sobie, że p. Czosnowski zapowiadał w prasie przed inauguracją swego teatru, iż będzie grał przede wszystkim sztuki polskie. Ale podobnie jak od tragizmu do komizmu jest tylko jeden krok, tak od zawiązku do realizacji jest tylko jeden... „Gałganek“.

Stanisław Telega

dźwięku mowa jego nabiera twardości, harmonizującej z pochodzeniem i profesją. Kwestie podaje tak plastycznie i z taką wewnętrzną pasją, że wierzymy bez zastrzeżeń jego zapewnieniom: „ja chcę mówić, ja pragnę mówić... moim życzeniem jest to radcy powiedzieć...“

Komizm postaci doskonale dawowany od prawie ponurego wejścia, węszącego interes przyციężkiego śmieciarza, przez rozradowanie spryciarza, któremu się ten interes udał, do „zabójczej wytworności“ i słoniowatej lekkości Doolittle'a przeobrażonego w „milionera“, oddanego na pastwę burżuazjskiej moralności“.

Kurnakowicz stworzył w postaci Doolittle'a kreację pogłębianą wewnętrznymi i opracowaną do najdrobniejszych, zewnętrznych szczegółów.

Janina Martynowska, znana mi z poprzedniego sezonu krakowskiego, zabłysnęła w roli Lizy Doolittle całą pełnią swego talentu. Jako kwiatarka — proste i nieświadome swego człowieczeństwa zwierzętko, bardzo zabawna w scenie przyjęcia u pani Higgins, wzruszająca w wybuchu nagromadzonych refleksji w IV akcie.

Marian Godlewski (Higgins), rozporządzający jasną i czystą dykcją, był bardzo przekonującym profesorem wymowy. Roztrzępany i dowcipny, pochłonięty swoją ideą, aż do zerwania z rzeczywistością. Grubiaństwa i faux pas popełniał z tak czarującym uśmiechem, że nawet panie Hill nie mogły mu tego brać za złe, najwyżej mogły się dziwić. W scenach nauczania Lizy doskonale wydobyl ton sztucznej powagi człowieka dorosłego, rozmawiającego „na serio“ z dzieckiem. Gdy udało mu się przyłapać przekształconą już Lizę na prostackim odruchu, zareagował świeżą radością „dużego chłopca“. Przy tak lekko zarysowanej postaci zbyt mocno i dramatycznie rozegrana była scena pojedynku słownego z Lizą w IV akcie.

Bardzo dobry typ dystygowanej zarządzczyni domu, pani Pearce, dała Jadwiga Hańska. Gentlemanem w każdym calu był Pickering Korczyńskiego. Zabawnym kretynkiem z dobrego domu był Fred (Burzyński). Ładnie wyglądały pani Higgins i obie panie Hill. Dekoracje Jędrzejewskiego i Langego jak zwykle interesujące. Plac Covent Garden w I akcie nieszablonowo ujęty i urozmaicony efektami świetlnymi. Lekkie strzępki mgły włączającej się wśród gmachów, widocznej w perspektywie Trafalgar Square podnosiły „londyński nastrój“. Mieszkania prof. Higginsa i jego matki przypominały raczej rezydencje wiejskie lub wnętrza holenderskich zameczków nadmorskich, niż flats'y w centrum City.

Stroje pań za ubogie.

Wojciech Dzieduszycki

Najlepszy barwnik do wszystkich materiałów to

„ORION“

Składnica Fabryczna Katowice, al. Starowiejska 3 — Nr tel. 354-64

W następnym numerze ukażą się m. in. nast. artykuły: Mariana Smereka „W imię Soplidy“, Stefana Sulimy „Żywe Kamienie“, T. Karpowicza „Złote jezioro“, ponadto prace Wojciecha Żukrowskiego, Gustawa Morcinka, Jana Sztandyngera i in.



## Listy z Polskiego Zachodu

## Kalejdoskop pomorski

Szczecin, jesień 1946

Gdziekolwiek byś się, człeku najmilszy, nie wybierał samochodem ze Szczecina, musisz zawsze i nieodmiennie jechać przez Kolbaczewo, drewnianą autodrogę, Radziszewo, Żydowin i Stary Dąb. I zawsze w Radziszewie pozdrawiać cię będzie olbrzymia tablica na napót zburzonej stodole, głosząca dumnie czarno na białym ogromnymi literami: „Commerzbank“.

I tutaj znajdujemy zaprzeczenie przyszłości, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, albowiem ze Szczecina wiedzie w świat polski jedna i jedyna droga według kierunku, jak wyżej. Innej drogi nie ma i nie będzie, bo olbrzymie bele żelazne i wiązania mostu kolejowego, który uciekający w zeszłym roku szkopy w powietrze wysadzili, spadły na dno Odry i obecnie z trudem dopiero z niego są wyciągane.

Jazda owym jedynym kierunkiem drogi ze Szczecina w szeroki świat, nie jest przyjemniejsza. Niektórzy przemysłni automobilści, dla wszelkiej pewności, zjeżdżając z autodrogi drewnianej na kocie łby szosy radziszowskiej — zakładają na głowy helmy stalowe, a z braku tych — żelazne garnki, bo głowa tutaj zawsze jest w niebezpieczeństwie, zwłaszcza gdy pułap samochodu jest niski i twardy.

Dopiero w samym Starym Dębnie, potwornie zdruzgotanym, droga się wygładza i można przez miasto względnie spokojnie i bezpiecznie przejechać, ale gdy znowu skręci się za niemieckim „denkmalem“, który nie wiadomo po jakim licho stoi na samym środku szosy, na prawo, kocie łby są jeszcze okropniejsze i samochód wyczynia takie skoki, jakby się nagle upił bimbrem i przymieszka kwasu pruskiego i karbidu i dostał okropnych torsji.

Tak się dojeżdża do szosy starogardzkiej i pędzi się nią do Gołnowa, który jeszcze niedawno nazywał się Gołonóg, a jak się będzie nazywał za parę tygodni, to tylko jeden dobry Bóg i pan starosta nowogardzki, względnie inny „czynnik urzędowy“ wiedzieć może.

Gołnow ma jedną osobliwość, która właściwie nie byłaby osobliwością, gdyby nie misterność „wykończenia“ dziesiątek niemieckich „panter“, zgromadzonych w jednym miejscu, jakby w muzeum jakimś wojskowym, a pokaz przejeżdżających. Tych czołgów jest tu co najmniej ze dwadzieścia. Zatrzymać się przy nich warto, bo niektóre z nich porozpruwane są pociskami wzdłuż, inne wszczepione są przednie odwłoki, pogięte i pokiereszowane blachy z czarnymi krzyżami, które straszły nas zawsze przez lat sześć i pół.

Ominąwszy to cmentarzysko i wzięwszy kierunek prosty, pędzimy do Nowgardu, jak się najmodniej dzisiaj nazywa dawny Nowogród. Miasto w dużej części zburzone i — dostatecznie brudne. Szkoda.

Wyjazd z Nowgardu ku Płotom prowadzi szeroką aleją Armii Czerwonej wśród will, ogrodów i prawie wszędzie całych domów. Przeskoczywszy rzeczkę Regę — jesteśmy w Płotach. Senne to miasteczko i pokiereszowane srodze. Ludzie starsi jakos tutaj są nieruchliwi, jakby senni, tylko dzieci baraszczą, obrzucają się kamieniami i rozhasane bawią się na samym środku jezdni. Czasem także jakieś bydlę rogate, zwane po polsku krową, wyjdzie na środek jezdni i stoi obojętnie, nie zważając na żadne klaksony, trąbienia i przekleństwa szoferów. Trzeba zatrzymać wóz, wyłączyć i spędzić bydlę na bok. Krowa, o ile jest dobrodziejką każdego gospodarza i posiada podobno największy ze zwierząt mózg, o tyle zasługuje na miano najgłupszego zwierzęcia pod słońcem.

Nagły skręt na lewo, potem taki sam na prawo i droga wybiega na szeroką polną przestrzeń, prowadząc już wprost do Gryfic.

Dokoła z radością widzimy czerwień wschodzących lub szmaragd zieleniejących już żyt. Na polach płoną pastusze ogniska, w których młodzi Polacy pieką smaczkowe ziemniaki, a ojcowie chodzą wolno za pługami i przewracają rodną ziemię, aby w nią rzucić ziarno, które na rok przyszły wyda znowu plon.

Ugorów tu mało. Osty na rzadkich ugorach są miejscami tak gęste, że tworzą jakby jakiś nowomodny las, którego szuby bielą się, jakby śniegiem były posypane.



Kościół św. Jana w Szczecinie.

Mój towarzysz zwraca uwagę, że gleba tu musi być nie zła, bo oset i pokrzywa na bylejakiej glebie rosnąć nie będą. Obie te rośliny są szkodnikami i utrapieniem rolnika, ale manierę mają iście pańską, bo z byle piaskiem czy zinnym sapem popositować się nie lubią.

Nasz zjazd do Gryfic nie stanowi nic osobliwego. Po prostu wita nas na pierwszym domku krwista czerwien wina, które opłotło całą ruinę bez drzwi i okien. Widać jednak w środku kawałek potrzaskanego stołu i takież szafy, co świadczy, że dom został, jak się to pospolicie mówi, obszabrowany.

Wędrówka po tym dość schludnym i czystym miasteczku sprawia nam co krok najrozmaitsze niespodzianki. Sami nie wiedzielibyśmy, gdzie się znajdujemy, gdyby nie wyczerpujące „informacje“ szesnastomiesięcznych autochtonów. Raz bowiem zdaje nam się, że jesteśmy w Zagórzcu, drugi raz, że w Gryficach. Na jednej stronie ulicy widnieje na ładnym piętrowym budynku ogromna tablica, która głosi, że tu się mieści PUR w Zagórzcu, a po drugiej stronie podobna tablica protestuje krzykliwym napisem: Inspektorat Szkolny w Gryficach. Milicja ogłasza tu miasto jako Zagórze, Starostwo jako Gryfice, a Magistrat dyskretnie kazał w ogóle zakleić napis, zapewne w rozsądnym i oszczędnym przewidywaniu, że właściwie nic jeszcze nie wiadomo, jak nazwa na dobre będzie utrwalona, zatem lepiej nie zmieniać wcale Zagórze na Gryfice, ale poczekać. Kto wie, czy nie jest to najrozsądniejsze stanowisko wobec plagi zmieniania nazw miej-

scowości na Ziemiach Odzyskanych regularnie co kilka miesięcy.

Skład ludnościowy Gryfic jest tak samo różnolity i przypadkowy, jak niemal we wszystkich miastach na Pomorzu Zachodnim. Są tu warszawiacy i radomiacy, kielczanie i wołyniacy, są Polacy z dalekiego Sybiru i repatrianci z zachodu. Słowem — mieszanina wszelkiego rodzaju, z której dopiero po wielu latach wytworzyć się może nowy typ, typ jednolity Polaka Pomorza Zachodniego. Dzisiaj, zapytany gryficzanin, skąd pochodzi, nigdy nie odpowie: z Gryfic, ale powoła się na swoją pierwotną siedzibę w Warszawie, Kielcach, czy Radomiu.

Mimo to gryficzanie mają wielkie ambicje i z uporem utrzymują, że nie święci garnki lepia najlepiej, ale że i oni to samo potrafią.

Stąd pewnego rodzaju wyścig, aby swoje miasto nie tyle rodzinne, ile miejsce zamieszkania, a jak jeszcze inni dowcipni utrzymują — nowe miejsce postoju — zapatrzeć we wszystkie zdobycze kultury i cywilizacji, jak gimnazjum, teatr (choćby tylko amatorski), kino, które by „grało“ przynajmniej trzy razy w tygodniu i inne zdobycze nowoczesne.

Tymczasem gryficzanie zdobyli budynek gimnazjalny, bo dywizja warszawska przeniosła się z Gryfic gdzie indziej i gmach, zresztą cały i ładny, przekazała miastu.

Lecz mimo to wszystko, w Gryficach życie nie płynie bynajmniej sielankowo. Jak w każdym podobnym zbiorowisku ludzkim, które się zbiegło z rozmaitych okolic, miejscowości i stron świata nawet, niechęci i animozje występują daleko częściej, niż gdzie indziej, niż w miastach, gdzie ludzie znają się od dziecka, razem się wychowywali i razem przechoǳili dole i niedole. Stąd też pochodzi ów casus, że Gryfice były jedynym powiatem na Pomorzu Zachodnim, który do ostatnich niemal dni nie posiadał Powiatowej Rady Narodowej. Przeszkodą na drodze do jej zmontowania były niechęci, wzajemne nieufności i ambicji niektórych osobników, którym się zdawało, że oni są pępkiem świata i oni — rządzić powinni.

Na szczęście WRN przełamała tę linię Maginota uprzedzeń ludzkich i utworzono nareszcie PRN, na której czele stanął dotychczasowy burmistrz, ob. Wierciński.

Od tej chwili wszyscy mają nadzieję, że cała praca w Gryficach i całym powiecie ruszy się nieco zwawiej, a tym to jest potrzebniejsze, bo to przecie i zima zagląda i pomoc biednym osiedleńcom jest bardzo pilnie potrzebna i na karku mamy wybory, w których PRN znaczną odegrać musi rolę.

Jacek Jantar

## Książka Ziemi Odzyskanych

Małłek Karol. *Jutrznia mazurska na Gody*. Nakładem „Instytutu Mazurskiego”. Olsztyn 1946, str. 61.

Praca niniejsza jest drugą pozycją Karola Małłki, wydaną nakładem Instytutu Mazurskiego w Olsztynie. Pierwsza pt. „Plon, czyli dożynki u Mazurach” była materiałem do widowiska ludowego i została napisana w oparciu o zwyczajne dożynkowe ludu mazurskiego. „Jutrznia mazurska na Gody” ma charakter odrębny, choć oparta jest też na odkładnych obserwacjach i tradycjach ludowych. Swym charakterem „Jutrznia” przypomina polskie „Jasełka”, ma jednak inny trochę charakter, bowiem geneza powstania „Jutrznia” jest głębsza. Słusznie pisze w przedmowie do wydanej pracy K. Małłka, Emilia Sukertowa-Biedrawina, że powstanie tego zwyczaju u Mazurów świadczy o jego starożytności, bowiem geneza „Jutrznia” tkwi głęboko korzeniami gdzieś w zamierzonych czasach, gdy lud siedzący na ziemi mazurskiej w najdłuższe noce wyczuwał instynktownie zimowe stanowisko słońca, przypadające w okresie najcięższych mrozów.

„Jutrznia” była niegdyś jedną z najulubieńszych uroczystości mazurskich na zapadłych siołach i osadach i uroczystość jej oczekiwana była z niecierpliwością przez Mazurów każdego roku. Była ona wykładnikiem starej tradycji, przechowywanej z petyzmem z pokolenia na pokolenie. Duch germanizacyjny zaczął rugować z pomysłnym skutkiem przed pierwszą już wojną światową tę uroczy-

stość, do której przywiązanie było ogromne. Zasięg Karola Małłki było skrzętne zebranie tego zamierającego zwyczaju na terenie Działdowszczyzny. Owocem tych poszukiwań za zamierzającym wątkiem tradycyjnym było opracowanie literackie tego tematu po raz pierwszy w 1931 roku i wydanie go nakładem „Gazety Mazurskiej”. Drugi nakład ukazał się w 1939 roku, nakładem Związku Mazurów w Działdowie, z którego ocalał tylko jeden egzemplarz. Obecnie wydano tę pracę po raz trzeci i przeznaczona jest ona nie tylko dla Mazurów, ale dla wszystkich szkół na terenie ziem mazurskiej. Intencją bowiem wydawców jest, aby młodzież napływowa wczuła się w piękno starych tradycji mazurskich i aby je pokochała. Chodzi o wskrzeszenie starej tradycji na ziemiach warmińsko-mazurskich nie tylko dlatego, że jest piękna, lecz przede wszystkim dlatego, aby znaleźć jak największą platformę wspólnych przeżyć tradycyjnych z ludnością autochtoniczną, dla której uroczystość pt. „Jutrznia na Gody” jest czymś bardzo bliskim.

J. Antoniewicz

Jedenastą listę składek na nagrodę literacką „Odry” ogłosimy w następnym numerze. Suma dotąd złożonych składek wynosi 98.100 zł. Prosimy o dalsze składki. Nagroda przyznana zostanie w końcu stycznia.

## Tydzień Katowic

5. XII. — 11. XII.

## ŻYCIE LITERACKIE I NAUKOWE

6. XII. w sali Instytutu Śląskiego Towarzystwo Przyjaciół Nauk wznowiło cykl odczytów o zagadnieniach cywilizacji prelekcją d-ra Stanisława Pigońa pt. „Historia, granice i przyszłość literatury ludowej.”
7. XII. Związek Zawodowy Literatów utworzył studium literackie. Na wieczorze inauguracyjnym Jerzy Andrzejewski wygłosił dwa krótkie wykłady. Pierwszy nosił tytuł: Jak zostałem pisarzem?, a drugi: Proza polska r. 1946 (próba syntezy kierunków ideologicznych). Do studium zgłosiło się 40 słuchaczy.
9. XII. w ramach XI wieczoru Klubu Literackiego (sala Instytutu Śląskiego), poświęconego twórczości A. Puszkina, prelekcję pt. „Puszkina — człowiek i twórca”, wygłosił Wilhelm Szewczyk, a Tadeusz Staich recytował wiersze Puszkina. W części koncertowej Olga Łada wykonała 3 pieśni do słów Puszkina. Akompaniowała Irena Kozłowska.
10. XII. odbyło się zebranie Komisji Literackiej Instytutu Śląskiego. Po sprawozdaniu z dotychczasowej działalności, złożonym przez d-ra Juliana Dąbrowę i mgr. Michalinę Pazdro, dyskusję zagal profesor Uniwersytetu Wrocławskiego dr. Tadeusz Mkułski. Prof. Mkułski przedstawił zebranym swoje propozycje, dotyczące zakresu prac Komisji. Dyskusja pogłębiła wnioski prof. Mkułskiego. Uchwalono odbywać zebrania raz na miesiąc, przy czym na zebraniach tych członkowie komisji referować będą stan swoich prac. Zarząd Komisji ukonstytuował się w następującym składzie: prof. dr. Mkułski — przewodniczący, dr. Dąbrowa — zastępca, mgr. Pazdro — sekretarz. Na zebraniu zgłoszono podjęcie szeregu prac z zakresu zarówno bibliografii jak i monografii literackich.

## TEATR

7. XII. na Małej Scenie Teatru Śląskiego odbyła się premiera komedii Wł. Perzynieckiego „Szczęście Franja”. Spektakl otrzymał opracowanie reżyserkie Edwarda Żyteckiego i oprawę dekoracyjną Stanisława Tenerowicza. Wykonawcy: Guttner, Rozwadowska, Górecka, Łomnicki (Franjo), Śmiałowski, Radłowska i Mchnowska.

## INNE IMPREZY TEATRALNE

7. i 8. XII. gościli w Katowicach Lidia Wysocka i Zbyszko Sawan z dwiema komediami. G. B. Shaw — Po co daleko szukać? i Cwojdzńskiego: Freuda teoria snów.

## ŻYCIE MUZYCZNE

8. XII. w ramach koncertu popularnego Państwowej Filharmonii orkiestra pod batutą Witolda Krzemińskiego wykonała trzy części suity indyjskiej Mac Dowella, E. Griega — Tace norweskie i A. Casella — Rapsodię włoską. Solistka koncertu, Maria Kulejowa (fortepian), wykonała XII Węgierską Rapsodę Fr. Liszta. Słowo wstępne do koncertu zatytułowanego „Folklor w muzyce różnych narodów” wygłosił Marcin Kamiński.
11. XII. Sekcja Dyrygentów i Solistów (DiS) Zw. Zaw. Muzyków rozpoczęła swą działalność koncertową recitalem fortepianowym Bolesława Woytowicza. Pianista wykonał preludium i fugę a-moll Bacha-Liszta, Chopina: Nocturne fis-dur, Preludia fis-moll i b-moll, 2-gą Balladę f-dur, Mazurki a-moll i c-dur oraz Walca es-dur. W drugiej części, poświęconej muzyce nowoczesnej B. Woytowicz wykonał: Debussy'ego: Reflets dans l'eau, Hommage à Rameau, Novecento i L'isle joyeuse oraz Ravela: Ondin, A. borada del grazioso, Forlane i Toccatę.

zagadnienia życia współczesnego społeczne gospodarcze polityczne nauka literatura sztuka

wszystko, co Cię interesuje, zawiera

WIEDZA I ŻYCIE

miesięcznik popularno-naukowy

doborowi autorzy ciekawa i obfita treść liczne ilustracje

od 1926 r. wysuwają

WIEDZĘ I ŻYCIE na czoło najpoważniejszych periodyków w Polsce

prenumerata:

kwart. zł. 75, roczna zł. 300

administracja:

Warszawa, al. Róż 7 — 39

konto PKO nr. 1-1490

zadajcie zeszytów okazowych!



## Korespondencja

Do redaktora »Odry«

Ludzie z okresu odrodzenia czyli renesansu, to byli ludzie, można by rzec, z dużej litery. Reprezentowali przeważnie najwyższe formy kultury nie tylko osobistej, ale życia zbiorowego, publicznego. Zresztą niosła ich fala wielkiego ruchu ideowego i cywilizacyjnego. Ludzie dzisiejszego „Odrodzenia“ to, niestety, inni ludzie. „Odrodzenie“ bowiem od swego początku nie było niczym związane z wielkim prądem kulturalnym, od którego wzięło nazwę. Nikt tu niczego nie odradza, a wiele artykułów i notat, zamieszczanych w tym piśmie przeczy dosyć często wysokim formom kulturalnym, jakie związane są właśnie z europejskim Quattrocento.

Wiele by można mnożyć przykładów na tendencyjne i niepiękne formy walki polemicznej w „Odrodzeniu“. Ostatnio ludzie „Odrodzenia“ popełnili nieprzyzwoitość w stosunku do „Odry“, starając się ośmieszyć mój artykuł wstępny, poruszający nb. bardzo poważne zagadnienie, istotne dla Ziemi Odzyskanych. Metodą złośliwego fastrygowania różnych cytatów, powyjmowanych dowolnie z artykułu, mówiącego m. in. o niebezpieczeństwie braku wiary w trwałe posiadanie przez Polskę ziem nad Odrą i Nysą — jakiś tchórzliwy, schowany za sylabą „tar“ odrodzeniowiec krakowski, pragnie mnie spostonować (por. „Odra“ nr 42 art. wstępny i „Odrodzenie“ nr 48 z 1. 12. 46 „O plecuchy brzydki“). A no, proszę panów. Można i w ten sposób wyrażać swój czynnny stosunek do jednego z najżywniejszych i najważniejszych problemów w Polsce, że problem ten usiłuje się utopić w kpinach. „Odrodzenie“, które ze zdumiewającą obojętnością odnosi się do Ziemi Odzyskanych, czego nie mogą zmienić przypadkowe reportaże, jest czasopiśmie coraz bardziej zawisającym w próżni tysiąca czy dziesięciu tysięcy eklektycznych głów. To „Kuźnica“, w której założeniu programowym leży walka o nowy świat dziejowego materializmu, która jest piśmie ściśle ideologicznym, wykazuje więcej zrozumienia dla Ziemi Odzyskanych, niż „Odrodzenie“, mianujące się być wykładnikiem ruchu ogólnokulturalnego w kraju.

Można posiadać różnego rodzaju stosunek do tego, co się dzieje na naszych Ziemiach Odzyskanych. Jednych problemy i bolączki polskiego Nadodrza interesują tylko na zimno, drugich nie interesują wcale, a trzecich pasjonują. Trzeci wkładają całego siebie w problemy zorganizowania i zbudowania życia na tych „ziemiach odzyskanych przeznaczeń“. Ci trzeci nie piszą artykułów czelujących i martwych. Ale żywe artykuły wyrzucają z piersi jak miłość, jak złość, jak afekt. I nie boją się słów. Tam gdzie potrzeba użyją nawet stylu „Małpiego zwierciadła“. Niech się martwią „dobrze wychowani“ i „grzeczni“ odrodzeniowcy. Niech się odzywają. Właśnie, niech się odzywają, oburzeni ludzie „małej wiary“, o to nam chodzi. Po to uderzamy w stół. Dziwne, że to, co my całym sercem pragniemy odrodzić, wy cudzysłowi odrodzeniowcy całym sercem hamujecie przez podważanie naszych wysiłków fraszką, złośliwością kamero-obskurną.

Zbyszko Bednorz.  
(Chorzów)

## Na temat „Kordiana“

W „Trybunie Robotniczej“ z dnia 15. XII. 46 ukazują się artykuł pt. „Kordian i cham“, w którym autor niedwuznacznie wysuwa moją skromną osobę na pierwszy plan, dziwiąc się mocno mojej ocenie sławnego już w Polsce dzięki A. M. Świniarskiemu (patrz „Dziennik Polski“ nr. 347 z dnia 18. XII.) wykonania roli Kordiana w Sosnowcu. Ponieważ moja recenzja w „Odrze“ i moja osoba są tam przedmiotem ataku, co niewątpliwie ma pewien związek z tytułem artykułu, proszę uprzejmie o przyjęcie następującego wyjaśnienia:

1) nie mam nic wspólnego z Kordianem i proszę, by mnie tym imieniem nawet w przystępie dobrego humoru nie obdarzano, gdyż jest to zupełnie nieuzasadnione, a mogłoby nasuwać krzywdzące mnie podejrzenia, że mam coś wspólnego z gen. Kordian-Zamorskim, znanym szefem policji do r. 1939.

2) co do drugiego epitetu w tytule wspomnianego artykułu jestem zdania, że jest on wynikiem nieporozumienia pomiędzy wykonawcą roli Kordiana a jego niezręcznym obrońcą. Zastrzegam się kategorycznie przed ewent. insynuacją, jakoby ja tego epitetu użył w recenzji lub też sugerował go w jej treści.

Zdzisław Hierowski

## TEATRY ŚLĄSKIE



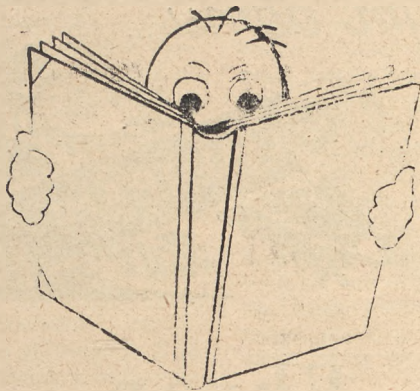
Z lewej: Teatr Ziemi Opolskiej wystawił Fredry „Śluby pannieńskie“. W roli dumnej Klary zwróciła na siebie uwagę uzdolniona artystka Krystyna Wydrzyńska. Milutką jej partnerką była Kulikówna jako Aniela.



Z prawej: „Pygmalion“ Bernarda Shawa na scenie wrocławskiej w reż. Mariana Godlewskiego. Na zdjęciu Jan Kurnakowicz (Alfred Doolittle).



Scena zbiorowa z „Pygmaliona“. Od lewej Jan Kurnakowicz (Alfred Doolittle), Julia Elsner (Pani Higgins), Jan Koryziński (Pulk. Pickering), Janina Martynowska (Liza) i Marian Godlewski (Prof. Higgins).



Gąsiorowska N.

Hertz P.

Hirszfeld L.

Iwaszkiewicz J.

Łukasiewicz St.

Nałkowska Z.

Rymkiewicz Wł.

Słoniemski A.

Strumph-Wójtakiewicz St.

Tołstoj A.

tom I i II

Tołstoj L.

Tworkowski S.

Zabińska A.

Żeromski S.

## Kapitalizm w rozwoju dziejowym

Dwie powieści

Historia jednego życia

Wiersze wybrane

Nauczyciele

Medaliony

Rafał z lasu

Wybór Poezji

Gwiazda Wł. Sikorskiego

Droga przez mękę

## Dzieciństwo

Architektura wsi

Dżolly i S-ka

Nowele, Opowiadania, Fragmenty.

## Glossy i notatki

JAN DOBRACZYŃSKI

Znany pisarz katolicki Jan Dobraczyński wydał w ostatnich miesiącach kilka nowych swoich książek. Przed wojną znany jedynie jako esesysta, po wojnie występuje jako powieściopisarz. Pierwszą jego powieść wydał „Czytelnik“, była to powieść osnuta na tle powstania warszawskiego pt. „W rozwalonym domu“. W tych dniach ukazał się nakładem Oficyny Księgarskiej w Warszawie pierwszy tom powieści „Najeźdźcy“, której fragmenty dotąd ogłaszane były w pismach literackich. Nowa ta powieść Dobraczyńskiego pokazuje wojnę od strony wroga, którego widzimy na wszystkich jego frontach. Wreszcie Księgarnia Zdzisława Gustowskiego w Poznaniu wydała pięknie powieść „Szata Godowa“.

Obok tych powieści, wykazujących konsekwencje ideową i niemały talent narratorski, na półkach księgarskich ukazał się Dobraczyńskiego „Skapiec Boży“. Rzec o O. Maksymilianie Maria Kolbe, obficie zilustrowany. Brz.

CZY ŚLĄSKI REGIONALIZM  
JEST SEPARATYZMEM?

Zagadnieniem tym zajmuje się morawsko-ostrowski katolicki „Hlas“ z 24 listopada ub. r. „Hlas“ cytuje wypowiedź ministra propagandy Czechosłowacji, Kopeczkiego, który w czasie swego pobytu na Śląsku Czeskim miał upominać Ślązaków, żeby nie byli separatystami, że na zjawiska dnia dzisiejszego nie mamy patrzeć tylko z punktu widzenia regionalnego, że byłoby niebezpieczeństwem wytworzenie jakiejś „laskiej“ narodowej świadomości.

„Hlas“ uważa, że to upomnienie ze strony członka rządu czeskosłowackiego jest „nie na miejscu“, gdyż na Śląsku nie istnieje zagadnienie separatyzmu, a pojęcie samodzielnego narodu śląskiego „jest rzeczą śmieszną, która nie zasługuje nawet na wzmiankę“. „Te dążenia — pisze „Hlas“ — powstały wśród osób pochodzących ze Śląska, które jednak w obcym środowisku straciły kontakt z ludem śląskim. Od tego rodzaju Ślązaków wychodzą plany wytworzenia narodu „laskiego“ jako narodu samodzielnego. Podkreślają oni w swej twórczości typowe pierwiastki naszego ludu, ale zapominają, że lud śląski jest czeski i odrębne cechy nie wytworzą z nich jeszcze odrębnego narodu. Wskazuje się na twórcę pojęcia narodu „laskiego“, pisarza **Ondrę Lysohorskiego**, który wyszedł z miejscowego środowiska, ale wychowaniem w obcym środowisku i pielęgnowaniem internacjonalizmu stracił świadomość wspólnoty losów z narodem czeskim. Ten to Ślązak nie zrół się dostatecznie z czeską kulturą, ale zachował pojęcie swego pochodzenia i dlatego zaczął się skłaniać do pojęcia odrębnego narodu „laskiego“, które zaczął propagować w Moskwie. Drugim Ślązakiem, który zaczął propagować „ślazactwo“ w sensie odrębnego narodu, jest **August Scholtis**. Jest on niemieckim pisarzem, ale stara się w swych utworach podkreślić odrębność Ślązaków jako narodu żyjącego między narodem polskim, czeskim i niemieckim i dlatego jest przekonany o słowiańskim pokrewieństwie wszystkich Ślązaków. Ciekawym jest właśnie, że poglądy o odrębnym narodzie laskim nie powstały na Śląsku i że A. Scholtis nie żył na Śląsku, ale w Niemczech. Śląski separatyzm i pojęcie odrębnego narodu śląskiego nie są wytworem Ślązaków, jest to problem wyrosły na obcej ziemi, u osób przesiąkniętych inną kulturą i środowiskiem.“ (jr)

## NOWE NAGRANIA

Od kilku miesięcy znajdują się w sprzedaży pierwsze polskie nagrania płytowe. Produkują je firmy „Melodie“ i „Odeon“. Płyty te — to przeważnie utwory taneczne, ludowe i popularne. Jeśli chodzi o techniczną stronę nagrań, to ma ona szereg wad, co zresztą można wytłumaczyć brakiem odpowiedniego surowca i aparatury, natomiast wybór utworów przeznaczonych do nagrania i ich wykonanie budzą poważne zastrzeżenia.

Jeżeli nagrywamy utwory ludowe, to powinniśmy albo sięgnąć po oryginalną muzykę ludową w oryginalnym opracowaniu i wtedy płyty takie stanowią będą wartościowe dokumentarną, albo nagrywać muzykę ludową w opracowaniu artystycznym, a nie dyletanckim, jak to ma obecnie miejsce. Wystarczy tylko wspomnieć opracowania „artystyczne“ E. Ciukszy oraz wykonawcę tych „prymitywów ludowych“ Jana Ciżyńskiego, który, jak się zdaje, ma monopol odtwórczy.

Rozpowszechnianie tego rodzaju płyt przez Polskie Radio nie można zaliczyć na korzyść propagandy muzyki polskiej.

Wśród ostatnich nagrań trafiają się utwory Niemców: Mücka, Bochmanna, Linkego, Bixnera, Munsoniusa i in. Już teraz? Jest to co najmniej dziwne.

tn.

WSZĘDZIE DO NABYCIA



## Wśród czasopism

Podobno „Pokolenie“ uległo likwidacji. Wyglądałoby to, że mocodawcy czy raczej mecenaszy tego pisma doszli do przekonania o jego zbędności. Grupa „Pokolenia“ miała bowiem tylko pewne pozory jakiejś odrębności, w istocie bowiem deklarowała się najwyraźniej jako część obozu lewicy polskiej, część upominającą się o pełne prawa i przywileje dla części żołnierzy z AK. To też po zniknięciu „Pokolenia“ ze szczególnym zaciekawieniem bierze się do ręki 49-ty numer „Kuznicy“ nazwany przez redakcję „numerem młodych“, będący ciągnięciem programowym i w ujęciu Stefana Żółkiewskiego propagandowym zarazem a przy tym — niezależnie od tych aspektów, jakie nadał mu Żółkiewski — pościąganiem słusznym i interesującym. We wstępnym „komentarzu“ do tego numeru redaktor „Kuznicy“ stwierdza, że pismo to jako najbardziej radykalne i postępowe pismo literackie Obozu Wielkiej Reformy potrafiło skupić jednolitą, liczną i dobrze się zapowiadającą grupę młodzieży literackiej, gdyż ideologia tego pisma okazała się dla tej młodzieży najbardziej bliska, najbardziej atrakcyjna, najbardziej odpowiednia jako punkt wyjścia dla niej do samodzielnej pracy. Z dumą stwierdza Żółkiewski, że takim skupieniem młodzieży literackiej nie może się u nas poszczycić prawica polska a nawet obóz katolicki z jego „radykalnym“ odłamem. Stwierdzenie to dosyć demagogiczne, jak i cała zresztą publicystyka Żółkiewskiego, jak i ton wielu wypowiedzi „Kuznicy“ w ostatnich czasach, ton każący ciągle pamiętać, że zbliżają się wybory. W obliczu tego faktu „Kuznica“ bilansuje swoje siły i ciągnie ludziom spoza jej obozu i antagonistom politycznym pokazuje język: „widzicie! my mamy, a wy nie macie! U nas pisze ten, ten i ten, a u was kto? Same grafomany. Literatura jest z nami! „Metody to niewybredne a argumenty tu używane są bardzo powierzchowne. „Kuznica“ chce gwałtem szeregować literatów według klucza partyjnego, przy czym wykazuje wielką skłonność do uznania tego podziału za jedynie istotny, decydujący zarazem o wartości dzieła danego pisarza. Z przykrością obserwuje się te harce, w wyniku których ustawia się pisarzy w dwa szeregi i próbuje się ich namówić do defilady. A sami zainteresowani czują się chyba mocno tym nowym podziałem w literaturze zakłopotani i zaskoczeni. Nie przez apolityczność, ale przez fakt, że nie pozwala im się zostać na pozycjach, które wykreśla im ich własna indywidualność i postawa w stosunku do naszej rzeczywistości społecznej i politycznej, postawa, o której sam Żółkiewski wyrażał się przecież z uznaniem. Czyżby chodziło nam o nowych Kadenów i Sieroszewskich? Dajmy spokój tej zabawie. Nie prowadzi do celu: podważa zaufanie do pisarza jako twórcy, utrudnia mu społeczne oddziaływanie a nie pomaga reżyserom tego nowego podziału literackiego. Przez to zaś szkodzi samej sprawie demokracji polskiej.

Najcięższym zarzutem, jaki stawia Żółkiewski młodym literatom zabierającym zbiorowo głos na łamach jego pisma jest ten, że nie są związani organizacyjnie z ośrodkami politycznymi. To, że treść ich dzieł jest „jasna, jednoznaczna, postępową“, że ich oblicze społeczne nie budzi wątpliwości, nie wystarczy mu. Uważa, że wejście ich w środowiska partyjne zaktywizuje ich twórczo, uświadomi ich o istocie zachodzących wśród nas procesów. Przykłada więc do pisarza tę miarę, co do działacza politycznego.

Interesujące jest stwierdzenie Żółkiewskiego, które powtarza się jeszcze i na innym miejscu w „Kuznicy“, że nasza młodzież literacka nie znalazła jeszcze nowej, właściwej dla naszych czasów formy wypowiedzi artystycznej, że tkwi jeszcze w atmosferze mieszczańskiego ekspresjonizmu. Tu ma Żółkiewski rację, którą doskonale popiera Lech Brudecki w artykule „Książki mojego pokolenia“ inteligentną choć trochę szkolarską analizą tomów prozy Bratnego i Zalewskiego dopatrując się jej źródeł u Kadena-Bandrowskiego, krytykując je za „galwanizowanie ekspresjonizmu“, niewrażliwość na konflikty społeczne i nie wróżąc tym pisarzom na tej drodze przyszłości.

Kuznicowy numer młodych przynosi w prozie utwory Jerzego Piórkowskiego. Tadeusza Borowskiego (obydwaj z „Pokolenia“) oraz Bohdana Czeskiego. W poezji widzimy nazwiska: Jacka Bocheńskiego, Andrzeja Brauna, Mieczysława Buczkówny, Marii Castellati, Ewy Fiszera, Krzysztofa Gruszczyńskiego, Tadeusza Kubiaka, Heleny Jaworskiej, Anny Kamińskiej, Romana Kamińskiego, Stanisława Marcza-Obrskiego, Jerzego E. Millera, Wiktora Woroszyńskiego, Anny Pogonowskiej i Tadeusza Sokoła. Umyslnie wymieniam je tu wszystkie, by zwrócić uwagę na tych pisarzy i zachęcić do śledzenia ich rozwoju. Przeważają nazwiska, z którymi zdążyli-

my się już trochę osłuchać. Czytając ich prozę i wiersze możemy powiedzieć zgodnie z ideologią „Kuznicy“: cudów nie ma. Jeśli chodzi o poezję zwraca uwagę rzecz jasna: dobre opanowanie techniki poetyckiej i kultura literacka tej młodzieży. Mało tam nowatorstwa, mało nowości, ale jest dobre przyswojenie sobie zdobyczy współczesnej poezji, wysiłek w kierunku udoskonalenia rzemiosła. To już jest dużo. Może poza Castellati nie widzimy tam rażącej łatwizny, nawet tej nowatorskiej łatwizny, którą próbowali zaimponować nam rok temu młodzi z Krakowa (Włódek, Jęczalik i tow.). Prozaikowie, jak widzimy, jest znacznie mniej. Nic dziwnego. To jest trudniejsze na początek. Ale ta proza więcej niepokoi. Piórkowski daje młodociąny zupełny prymityw. Czesko jest dobrym narratorem, umie patrzeć, pisze prosto, zapowiada się na dobrego realiste, ale razi wulgaryzmem. Takiego steku nieparlamentarnych słów, stosowanych hojnie i z dziwnym upodobaniem, dawno nie czytaliśmy i to w dodatku w krótkim opowiadaniu. Borowski natomiast nie widzi tego, co opisuje. Ludzie i sytuacje w jego opowieści są zamazani, niewyraźni, w języku zdarzają się błędy (o dwóch mężczyznach pisze się „oboje“) a u chorążego, który „był zaپیęty na ostatni guzik“ widzimy za minutę, jak „szpazmatyczne drgawki przebiegały mu przez wytatuowanego na piersi orła“. Czym innym jeszcze niepokoi ta proza. U Borowskiego wiatr zarpuka na maszcie „barwną szmatę narodową“ a bohaterowie jego mają w sobie dużo zgrzywania się na nihilizm i cynizm. Zgrzywania się — tak i to mocno niesmacznego. Co jak co, ale używamy sobie teraz na „szarganiu narodowych świętości“ używamy sobie prosto na wszystkim, co polskie, natomiast potworzyliśmy inne świętości, których nikt tknąć się nie poważy. Tu leży zakłamanie i fałsz. Krytyka nie może być jednostronna. Wtedy przestaje być wychowawczą.

W omawianym numerze „Kuznicy“ zwraca jeszcze uwagę artykuł Hanny Kulagowskiej „Oblicze współczesnej młodzieży“. Wypowiedź to spokojna, rzeczowa, obiektywna, dająca nawet ściśle praktyczne wskazania dla rozwiązania kwestii większego uspołecznienia młodzieży i związania jej z procesem zachodzących wśród nas przemian. I autorce nie chodzi już wyłącznie o partyjną aktywizację młodzieży. Artykuł godny uwagi.

Ciekawe jest, czy inne ugrupowania (np. katolicy) podejmą rzuconą przez Żółkiewskiego rękawicę i spróbują dać przegląd swoich młodych piór. Warto spróbować. Bo sytuacja w literaturze na tym odcinku jest jednak niepokojąca. (ki)



## Ekran

Ciekawym przykładem reportażu filmowego jest obraz produkcji sowieckiej pt. „Upadek Japonii“ (kino „Słońce“). W reportażu tym znajdziemy szereg ciekawych zdjęć, po części oryginalnych z walk na Dalekim Wschodzie, walk prowadzonych przez Japończyków z Chinami i Związkiem Radzieckim. Interesujące są zwłaszcza odcinki japońskiej kroniki filmowej z ostatnich walk poprzedzających klęskę Japonii. Reportaż przeprowadzony jest barwnie i co najważniejsze — nie nużąco.

W kinie „Casino“ oglądaliśmy przedwojenny film amerykański pt. „Symfonia młodości“. Sama symfonia nie jest co prawda, tak bardzo młoda jak jej tytuł, ale ogląda się ją z przyjemnością ze względu na rzeczywistość amerykańskie tempo w jakim jest wykonana oraz na to, że na wystawienie tego obrazu wydano wiele solidnych amerykańskich dolarów. Film obfituje w wiele zabawnych sytuacji, a niektóre sceny muzyczne mają wysoką wartość artystyczną, np. piosenka chóralna studentów uniwersytetu. Niestety jednak nie wszystkie produkcje tego filmu osiągnęły ten poziom. W sumie — całkiem przyjemny obraz rozrywkowy. Nic więcej.

Z najciekawszych filmów, jakie zapowiadano dla Katowic na okres świąteczny, wy-

## Co robią Niemcy

Proces rehabilitacyjny znanego niemieckiego dyrygenta Wilhelma Furtwänglera zakończył się w tym samym czasie i podobnie jak proces Stanisława Wasylewskiego: pełną rehabilitacją i pochwałą jego działalności w czasach hitlerowskich. Niemcy jednak aż do dnia samego procesu stawiali sprawę uczciwie i jasno: Furtwängler jest nam potrzebny i dlatego trzeba stwarzać momenty, które by mu pomogły do pełnej rehabilitacji („Der Kurier“). Furtwängler zresztą przebywał przez cały czas na wolności i sam się gorliwie krzątał około własnej obrony, mobilizując nie tylko przyjaciół, świadków, ale i prasę (ogłosił np. publicznie uważaną za sfałszowaną, własną korespondencję z Göringiem, z której wynikało, że posiadał wiele odwagi cywilnej, broniąc Żydów i zrywając ostatecznie wszelkie stosunki z Göringiem). Tymczasem u nas — przepraszam za analogię — nawet ci pisarze, którzy na procesie świadczili dobrze o działalności Wasylewskiego, na pamiętnym krakowskim Zjeździe Literatów, który go potępił i wykluczył ze swych szeregów, nie odważyli się ani jednego dobrego słowa o nim powiedzieć.

Sprawa Furtwänglera to nie sprawa honoru, jak w wypadku Wasylewskiego, lecz sprawa faktycznej, rzeczywistej pomocy hitleryzmowi na odcinku kultury. Furtwängler na procesie oskarżył całą polityczną emigrację niemiecką, że zamiast uciekać z kraju powinna była jak on — bohaterko — zostać. Polemizuje dalej z Tomaszem Mannem, który oświadczył, że w Niemczech nie można było grać wielkich klasyków. Polemizuje nie rozumiejąc sensu tej wypowiedzi, która nie stwierdza zakazu grania, lecz stwierdza brak kulturalnej atmosfery, brak właściwego, zgodnego z intencją twórców odbioru ich wielkiej muzyki. Ale Furtwänglerowi potrzebna jest ta powierzchowna polemika w sali sądowej dla chępczenia się, że to dzięki niemu umęczeni ludzie w Niemczech znajdowali pocieszenie w muzyce wielkich geniuszów narodu niemieckiego.

Proces denazyfikacyjny Furtwänglera w Berlinie, bądź co bądź wielkie wydarzenie w życiu kulturalnym i politycznym powojennych Niemiec, to rehabilitacją całej sztuki niemieckiej, która współpracowała z hitleryzmem. Nie są to moje słowa, ale radosny jubel speakera radia lipskiego na drugi dzień po ogłoszeniu wyniku procesu. „Wziąłem na siebie — powiedział Furtwängler — ten niemiły los pozostania w ojczyźnie, by pracować dla innych Niemiec. Emigracja wydała mi się przekleństwem.“ Tym samym proces Wilhelma Furtwänglera jest próbą zdyskontowania ewentualnych zasług emigracji niemieckiej dla „nowych“ Niemiec na rzecz tych wszystkich, którzy pozostali w Niemczech.

Nic dziwnego, że opinia niemiecka przyjęła wynik procesu z prawdziwą radością.

Podczas gdy w Berlinie triumfuje Furtwängler i ci wszyscy, którzy „wytrwali“ w kraju — na zachodnich rubieżach Niemiec inaczej się kształtują prądy i zjawiska kulturalne. W okręgu nadreńsko-westfalskim rozkrzewili się pseudonaukowi procy, którzy opanowali całkowicie życie kulturalno-naukowe. Wszyscy oni pracują pod hasłem: **Być Niemcem to znaczy być chrześcijaninem.** „Ren jest w 65% katolickim i dlatego nie znieśliśmy inwazji kultury sowieckiej“ — oświadczył dr Adenauer, przewodniczący CDU w strefie brytyjskiej. Znany na tym terenie pisarz i publicysta Reinhold Schneider stwierdził, że nieszczęście, jakie spadło na Niemcy, wynikało z zaniedbania modlitwy. Pani Gertrud Bäumer oświadczyła na kolońskich dniach kultury, że właściwa walka z demonem dopiero się zaczęła, — hitleryzm był pierwszą potyczką, ale nie rzeczywistym demonem. **Wszystko to głosi się pod pokrywką katolicyzmu,** wszystko to owiane jest fanatycznym jakimś mistycyzmem, który tolerują nie wiadomo dlaczego realistyczne władze brytyjskie, wszystko ma wygląd jakiejś nowej krucjaty. Bandera jest jednak, jak widzimy, nie nowa, poszarpały ją już kule rosyjskich rozpylaczy, zdeptały zwycięskie nogi żołnierzy, bandera jest hitlerowska. I dlatego bynajmniej nas nie cieszy to nagłe odrodzenie i aktywizacja katolickiego Renu i uważamy, że zbyt łagodnie odnosi się do tego lewicowe dortmundzkie „Westdeutsches Volks-Echo“ pisząc, że trzeba się na prawdę dziwić, jak po jasnej i wyraźnej nauce minionej wojny można tematy światopoglądowe poruszać w tak nienaukowy i mętny sposób.

Pod tytułem „Plaga „wywleczonych““ — wzięte w cudzysłów słowo „wywleczeni“ ma powątpiewać w istotę zjawiska — pisze „Berliner Zeitung“, że w obozie dla Polaków w Bambergu podczas razii amerykańskiej żandarmerii polowej aresztowano 82 Polaków i skonfiskowano lekarstwa, mundury i amunicję na sumę 53.000 dolarów oraz penicylinę na sumę 45.000 dol.

Oto słowa Ojczyzny w Europie. Przeprowadzona we Frankfurcie nad Menem razia antyweneryczna wyłowiła wśród trzystu aresztowanych kobiet 142 dziewczyny polskie.

A równocześnie niektóre pisma polskie w Londynie piszą, że emigracja ma sens, że wstrzymywanie się od powrotu do kraju jest tym samym, co walka o wolność ojczyzny (sic!).

Przykro się robi przy zestawianiu tych faktów.

W niektórych więzieniach niemieckich, m. in. także na terenie wielkiego Berlina, po staremu jak za czasów hitlerowskich dzieli się więźniów na upadłych aniołów narodu panów oraz na zbrodniarzy narodów małowartościowych. Na celach dla Polaków pisze się „Pole“ a w wielu miastach, podobno w celach rejestracyjno-dyscyplinarnych jak podają pisma, każe im się nosić naszywki z napisem „Pole“. Według nie pełnych danych niemieckich w więzieniach niemieckich przebywa w tej chwili kilkanaście tysięcy Polaków, oskarżonych przeważnie o przestępstwa kryminalne. Nie znana jest liczba Polaków, przebywających we więzieniach władz wojskowych alianckich.

Przed świętami odbyła się na terenie Niemiec zbiórka książek dla więźniów. Zebrano w samym Berlinie, pozbawionym przecież na ogół książki, 6000 tomów. W strefie brytyjskiej Niemcy zbierali także ciepłą garderobę dla więźniów a w dzień wigilii wolno było przynieść do więzienia świąteczne jedzenie, które rozdzielali pomiędzy więźniów kafeaktorzy.

„Weser-Kurier“ napisał pełen oburzenia artykuł przeciw przebywającym na terenie Niemiec Polakom, którzy „burzą moralność narodu niemieckiego, zmuszają nieraz do krwawej kontrakcji, zaprowadzając tym samym Bogu ducha winnych obywateli Niemiec, wyprowadzonych z równowagi, do więzienia.“ Pismo woła wreszcie z emfazą: „Mamy dosyć Polaków na naszej ziemi, — nie dość że zabrali nam pół Niemiec, jeszcze deprawują naszą młodzież, palą domostwa i okradają gospodarstwa.“

Jest to problem niemałej wagi. Nie chodzi tu już o jego oblicze polityczne, które dobrze jest znane całemu światu i które enuncjacje niektórych polityków naszej emigracji skompromitowały doszczętnie, ale w tej chwili równie ważne wydaje nam się moralne oblicze tego problemu. wisz.

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szawczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, ul. 3 Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł. kwart. 130 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9 Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik“, Katowice; 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik“ R 23209